BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Lubelski Manhattan dla ubogich

STR. 3

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PI ISSN 0137-7108 Nr Indeksu 38251

kamena

NR 12 (858) 15 czerwca 1986 Cena 15 zł

Powrót dziedzica

STR. 6

Fot. Włodzimierz Ochnio

Cerkiewki

STR. 9

Wiedźma

STR. 12,11

Prof. Aleksander Rummel:

Narodziny samochodu

STR. 5,11

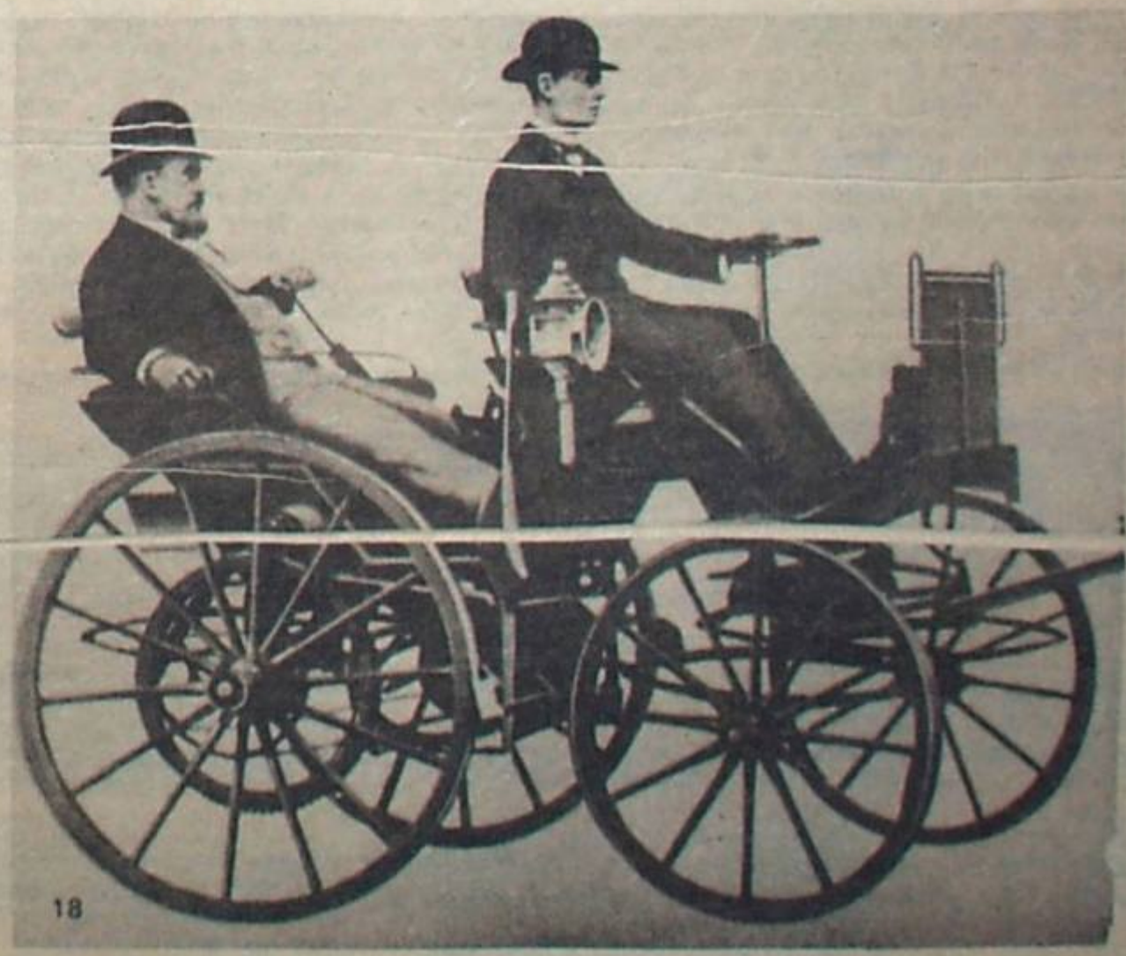

Daimler-rocznik 1886

JUBILEUSZ

Dwa Plus Jeden

STR. 10

z notatnika

2 VI. Na łamach „Kontrastów" interesująca dyskusja na temat: Homo Politicus. Uczestniczą: Jerzy Grzybczak, Michał Misiorny i Włodzimierz Sokorski. Cytuję kilka stwierdzeń (nie w porządku chronologicznym), które padły w czasie spotkania:

M. Misiorny: „W 40-leciu mieliśmy wybitnych polityków, ale o nich nic się nie wie: czy byli blondynami czy brunetami, co lubili czytać, co lubili jeść. Znamy tylko rezultaty głosowań na plenach, nie widzimy natomiast osoby. Tymczasem Rumiński, Rapacki, Gomułka, Cyrankiewicz to — poza wszystkim — bardzo ciekawi ludzie. Nieco inaczej traktowano te sprawy w dwudziestoleciu. Wówczas ludzie wiedzieli, co reprezentuje i jaki jest Dmowski, jaki Ratajski, Witos czy Piłsudski, a nawet Beck..."

Wł. Sokorski: „Trzeba oddać sprawiedliwość Kościołowi, że nie kolaborował. Natomiast jest prawdą, że konserwatyzm, który w dużej mierze wywodzi się z Kościoła, wpływa na psychikę narodu polskiego osłabiając jego zdolność do nowatorstwa. Kościół nawet partii potrafi narzucić moralność katolicką. To, co my w tej dziedzinie głosimy, to są homilie. Tylko ja się z nich częściowo wyłamuję, bo nie uznaję dziewiątego przykazania".

„Człowiek musi odczuwać w głosowaniu przyjemność, lecz ma ją tylko wtedy, kiedy może kogoś skreślić. Na tym polega przewaga demokracji węgierskiej nad polską. Na Węgrzech jest przymus skreśleń. Tam na przykład przepadł przewodniczący związków zawodowych, bo jest niepopularny, ale ustrój nie zawalił się od tego. Oczywiście my również nie chcemy dać żadnej szansy przeciwnikom demokracji socjalistycznej, lecz kiedy idziemy do wyborów frontem narodowym i wiadomo, że nie ma przeciwników systemu, tylko są indywidualności, to należy dać ludziom przyjemność wyboru skreślenia człowieka, którego z jakichś względów nie lubią. Na ogół ludzie mają niezłe wyczucie rzeczywistości. To jest element demokracji. Sądzę, że do tego dojdziemy. Świetnie napisał swego czasu Jerzy Putrament, że on woli oglądać mecz piłki nożnej niż brać udział w wyborach, bo tam przynajmniej (na meczu) nie wiadomo, kto komu strzeli bramkę".

Jerzy Grzybczak: „Problem polega na tym, że jak już kogoś wyłonimy, to nie zachowujemy jego indywidualności. Pamiętam telewizyjne dyskusje kandydatów na posłów. Ile oni mieli świetnych pomysłów. A co teraz się z nimi dzieje? Zniknęli, są anonimowi. Weszli w struktury klubów, obowiązuje ich dyscyplina i koniec.".

Jak widać — głosy dalekie od szablonu. Nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek mógł je w całości wydrukować jakieś osiem-dziesięć lat temu...

5 VI. Między osiedlem im. Sienkiewicza a osiedlem Ruta ma powstać park. Zieleni w mieście nie mamy w nadmiarze, toteż pomysł jest chwalebny. Ale park nie powstaje z niczego, trzeba weń zainwestować i to sporo, a potrzeby miasta są ogromne. Przed kilkoma laty ktoś wpadł na dobry pomysł i — jak to się mówi — „póki co" wydzierżawił teren przyszłego parku mieszkańcom osiedla im. Sienkiewicza. Ziemię podzielono, powstały ogródki działkowe, bardziej lub mniej zadbane. Ludzie mają zajęcie, a także to i owo kapnie na stoły. Oczywiście, jak zwykle w takich wypadkach bywa, nie wszyscy działki dostali, jedni są więc zadowoleni, a drudzy krzywią się całą gębą. Zwłaszcza nie są zadowoleni mieszkańcy osiedla Ruta. Bloki stanęły tu później i dziś nowalijki w oczy kolą, bo cudze. W miejscowej prasie ukazały się już dwa teksty wylewające na działkowców kubły zimnej wody i to chyba z tego wodociągu, który tu przeprowadzono. Maluczko, a na wiosnę przyszłego roku przyjdzie walec, który wszystko wyrówna.

Nie mam działki, bo nigdy do kopania i grabienia nie można mnie było zagonić, czasami jesienią dym z palonych na polach wysuszonych łodyg wciska się do mieszkania, ale zbytnio umysłu mi to nie mąci. Jestem za parkiem, podkreślam to szczególnie mocno, ale staram się myśleć realistycznie i uważam, że głupio by się stało, gdyby pewnego pięknego poranka ów walec wtoczył się na wszystkie działki. Znam życie i wiem, że wiele wody upłynęłoby w Bystrzycy, zanim plany przybrałyby realne kształty. Dlatego proponowałbym, aby prace nad budową parku rozpocząć etapami. To znaczy w jednym roku przygotowałoby się i zagospodarowało (podkreślam: zagospodarowało!) konkretny teren, natomiast na pozostałym działki uprawiano by nadal. W kolejnym roku front robót by się przesunął i następne działki ulegałyby likwidacji. Ale o tym wszystkim ludzie powinni zostać dokładnie poinformowani. Ostatecznie wiedzą oni, że nie otrzymali działek w wieczyste użytkowanie.

A tak przy okazji: inż. Mieczysław Przech z własnej inicjatywy zasadził za blokiem przy ul. Pana Wołodyjowskiego 3 kilkanaście drzewek. Drzewek in spe. Można je obejrzeć: wiele z nich połamano. Naszych milusińskich trzeba od podstaw uczyć miłości do przyrody. Obawiam się, że jeśli zacznie się zadrzewianie parku podobny los może spotkać sadzonki, zwłaszcza wówczas, kiedy wszystko będzie się robić na siłę, bez otwartych, szczerych rozmów z dzisiejszymi użytkownikami działek.

Nawołuję więc do rozsądku obie strony: władze miasta i samych użytkowników. Nie podejmujcie nieprzemyślanych decyzji!

7 VI. Cóż za wspaniały pomysł miała redakcja „Kuriera Lubelskiego"! Przekształciła ona główną ulicę miasta, Krakowskie Przedmieście, w jeden wielki wernisaż prac dziecięcych. Okna wystawowe wszystkich sklepów przekształcono w gigantyczną wystawę malarstwa, stanowiącą przegląd dorobku uczniów i uczennic z lubelskich szkół podstawowych. Całymi godzinami można było oglądać tę radosną (naprawdę radosną!) twórczość stanowiącą specyficzną mieszankę obserwacji dnia dzisiejszego i fantazji, wybiegającej poza wiek XX. Ileż te dzieci mają pomysłów, wyobraźni! Jeśli niektóre talenty będą się nadal rozwijać (a trzeba w tym pomóc!), za ileś tam lat będziemy mieć nie lisie, a tygrysie płótna!

Aż szkoda, że Krakowskie Przedmieście znów wróci do normy i wystawy sklepowe znów staną się szare i bezbarwne. A może inicjatywę warto nadal — może w mniejszej skali — kontynuować? Może zainteresowałyby się nią rady osiedlowe, kierownictwa spółdzielni mieszkaniowych?

Czytelnicy „Kuriera" wzięli udział w głosowaniu na najlepsze prace. Zwyciężyła Szkoła Podstawowa nr 4 im. A. Mickiewicza (ul. Hiacyntowa), drugie miejsce zajęła Szkoła Podstawowa nr 35 im. E. Plater (ul. Wajdeloty 13), a trzecia Szkoła Podstawowa nr 33 im. M. Wójtowicza (ul. Pogodna).

„Kurier" podał tylko numery szkół, ich imiona znalazłem w książce telefonicznej i przy okazji spostrzegłem, że nie mamy w mieście ani jednej szkoły podstawowej, która nosiłaby imię jakiegoś słynnego polskiego malarza.

8 VI. Po dzisiejszym nocnym (u nas) meczu Polaków z Portugalczykami wrzuciłem do kosza wszystkie moje dotychczasowe notatki na temat Mundialu. Zdaję sobie sprawę, że kiedy „Kamena" ukaże się w kioskach, będzie już po meczu Polaków z Anglikami, a przedtem — Portugalczyków z Marokańczykami i wszystko w naszej grupie stanie się jasne. Niemniej dziś optymistycznie patrzę na występy biało-czerwonych z Marokiem, bo również remisowy wynik uzyskali Anglicy, którzy w dodatku poślizgnęli się na Portugalczykach, którym my z kolei sprawiliśmy zimny prysznic.

Obejrzałem wszystkie mecze transmitowane przez telewizję. Przyzwyczajony jestem do nocnego stukania na maszynie, toteż nie usypiam przed szklanym ekranem. Z braku czasu nie oglądam powtórek, chociaż znam i takich, którzy na czas Mundialu wzięli urlop i wszystko chłoną, jak leci, po kilka razy w ciągu doby. Przyznam się, że obstawiam swoje typy w Totalizatorze Sportowym, choć w zestawie pierwszym trafiłem tylko „dziewiątkę".

Napisałem to i widzę, że przypominam naszego telewizyjnego komentatora, red. Zielińskiego, który zamiast o przebiegu meczu opowiadał, jakie to miał perypetie na lotnisku, a potem nie zauważył bramki (już nie pamiętam przez kogo i w którym meczu strzelonej). Wysyłamy dziennikarza na drugą półkulę, opłacamy jego podróż w twardej walucie, a on ględzi jak niektóre baby w kolejkach. Oszczędniej byłoby zlecić wszystko red. Rzeszotowi, który siedząc w Warszawie przed telewizorem więcej zobaczy i mądrzej poszczególne fazy gry skomentuje niż nasz orzeł, który jest na miejscu. Honor sprawozdawców ratuje red. Szpakowski, który zaimponował mi tym, jak w czasie zaniku obrazu przeszedł na radiowy sposób komentowania. To była klasa sama w sobie. Oczywiście wszyscy odczuwamy brak red. Ciszewskiego, już sobie wyobrażam, jak emocjonalnie przeżywałby on mecz Polski z Portugalią i tę strzeloną przez Smolarka bramkę, która, być może, zadecyduje o tym, że nasi piłkarze nie będą jeszcze pakować walizek i moja fraszka-rymowanka przed tym meczem: „Koniec naszych bliski: pakować walizki"! na razie jest jeszcze nieaktualna. I dobrze!

Komentarz do Mundialu pozostawiam naszemu specowi, Wieśkowi Horabikowi, ale na piłce nożnej i na kulturze wszyscy się ponoć u nas znają, więc nie mogę być gorszy, zwłaszcza, że ta druga strona „Kameny" w ostatniej chwili spływa do drukarni.

Zastanawiam się, kto mi dotychczas w tych meksykańskich igrzyskach najbardziej zaimponował? Nie ma wątpliwości, że drużyna radziecka w meczu z drużyną węgierską. To był nokaut.

Drugą niespodziankę sprawił mi Paragwaj. Drużyna nie załamała się straconą jej przez Meksykańczyków bramką i stale była w ataku. Mogłaby wygrać, gdyby miała więcej szczęścia. Doprowadziła do remisu i potem obserwowaliśmy tę dramatyczną końcówkę, kiedy to sędzia podyktował rzut karny przeciwko Paragwajowi. Bramkarz obronił ów rzut i naszemu sprawozdawcy wyrwało się, że „sprawiedliwości stało się zadość", aczkolwiek podyktowanie tego rzutu było całkowicie prawidłowe.

W meczu tym zaimponował mi również sędzia, który znajdował się pod olbrzymią presją stadionu, a jednak cały czas potrafił zachować pełny obiektywizm.

Podobała mi się też druga połowa meczu RFN z Urugwajem a zwłaszcza sama końcówka i doprowadzenie przez RFN do remisu.

Z drugiej strony, kto mi sprawił niespodziankę in minus? Przede wszystkim Brazylia. Z Hiszpanią powinien być remis, bo gol strzelony przez Hiszpanów Brazylijczykom należało uznać. Ale gdzieś wyczytałem, że gdyby Brazylia wypadła z grupy, wówczas spadłoby zainteresowanie mistrzostwami wśród Latynosów, a to oznaczałoby straty finansowe. Coś w tym jest!

Rozczarowała też drużyna angielska. Jej przegrana z Portugalią i remis z Marokiem mówią same za siebie. I po co było się chwalić że „możemy wypożyczyć strzelców innym drużynom"? Chwalić w ogóle się nie należy. Nasi chłopcy też zapowiadali zwycięstwo 3:0 z Marokiem, a okazało się, że było tylko 0:0...

Zobaczymy, co będzie dalej. Mundial jeszcze nie na półmetku. Meksykańskie słońce, meksykańskie powietrze niezbyt służy drużynom europejskim, co należałoby zresztą wcześniej przewidzieć. Ten, kto dobry dzisiaj, jutro może okazać się słabeuszem, po prostu sił nie starczy. Mogą rozegrać się z kolei ci, którym w pierwszym czy drugim meczu niezbyt się wiodło. Wszystko jest możliwe, dopóki piłka w grze, zwłaszcza na drugiej półkuli. I dlatego nie podjąłbym się wytypowania zwycięzcy. Wątpię, czy właśnie Brazylia sięgnie po puchar. Nie wierzę też w końcowy sukces Meksyku. Może Argentyna? Może Paragwaj? A z drużyn europejskich, mimo wszystko, nie lekceważyłbym ani Hiszpanów, ani Włochów ani zawodników ZSRR, RFN, Francji i Danii. A co do Polaków? Kto wie co będzie, jeśli na stałe przypną te husarskie skrzydła i tej podkowy z warszawskiego studia mundialowego żaden obcy agent nie ukradnie...

M. A. Jaworski

Dyrektorowi Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa — Książka — Ruch", WIESŁAWOWI WRÓBLOWI, wyrazy wielkiego współczucia z powodu nagłej straty

OJCA

składają: koleżanki i koledzy z „Kameny".

KRONIKA KULTURALNA

● Zespół teatralny „Gardzienice" będzie reprezentować polski teatr — pisze F. Piątkowski na łamach „Sztandaru Ludu" — „w najważniejszej imprezie świata, jakim jest sezon Teatru Narodów. Organizatorem tej imprezy, która odbywa się pod egidą Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI), jest tym razem amerykański ośrodek ITI i miasto Baltimore". F. Piątkowski stwierdza: „Przed wyjazdem grupy zostałem upoważniony do przekazania wyrazów zdziwienia tym, którzy próbowali nie dopuścić do udziału „Gardzienic" w sezonie Teatru Narodów i wyrazów wdzięczności tym osobom w Lublinie i poza Lublinem, które pomogły rozwiązać kłopoty związane z wyjazdem".

● W ramach obchodów Międzynarodowego Roku Pokoju w dniach 1—4 czerwca w [illegible] odbył się I Zlot Przodowników Nauki i Pracy uczniów szkół ponadpodstawowych województwa lubelskiego. Bogaty program wędrówek turystycznych, konkursów i gier terenowych, zawodów sportowo-obronnych, spotkań i występów zespołów [illegible] manifestacja pokojowa młodych uczestników Zlotu. Patronat nad tą imprezą przyjął Wojewoda Lubelski, a inicjatywę i współdziałanie zakłady pracy uczestniczące w Narodowym Czynie Pomocy Szkole oraz Rada Wojewódzka PRON. Wymienić wypada jeszcze organizatorów I Zlotu „Roztocze 86" a więc: Wojewódzką Radę Współdziałania Zakładów Pracy ze Szkołami, Kuratorium Oświaty i Wychowania, Komendę Chorągwi ZHP im. PKWN, Zarząd Wojewódzki ZSMP oraz Zarząd Wojewódzki ZMW w Lublinie.

● Dzieje Piask były tematem sesji naukowej, którą 1 czerwca w świetlicy OS SCh zorganizowało Regionalne Stowarzyszenie Przyjaciół Piask Lubelskich wespół z Instytutem Historii UMCS. Z okazji świętowanych „Dni Miejscowości" uczestnicy sesji obejrzeli przy ognisku program artystyczny na „Kościelcu".

● Po raz drugi [illegible] czerwca w Bychawie odbędzie się impreza folklorystyczna pod nazwą „Podkowa Bychawska". Zaprezentują się tam wybrane drogą eliminacji pary i zespoły z regionu lubelskiego. Przysłuchiwać się im będą i pilnie notować układy autentycznych jeszcze tańców lubelskich, piosenek oraz strojów instruktorzy z placówek kulturalnych w kraju. Impreza, organizowana m. in. przez WDK, świętuje XXX-lecia tej lubelskiej placówki kulturalnej.

● Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne po 30-stu prawie latach bezdomnej działalności (dzięki życzliwości władz miasta i Lubelskiego Domu Kultury) uzyskało nareszcie swoją stałą siedzibę. Galeria Fotograficzna Towarzystwa pomieszczona w Sali Kominkowej LDK otworzyła swe podwoje. Czynna jest codziennie w godz. 10—18. Swe najlepsze i najciekawsze prace prezentuje w niej 22 członków LTF. Towarzystwo, któremu przewodniczy Piotr Maciuk, zrzesza ponad 50 miłośników fotografii.

● Lublin, Majdanek, Las Krępiecki, Kurów, Chełm, Biała Podlaska — to niektóre tylko z miejsc straceń więźniów politycznych Zamku Lubelskiego w latach 1939—1944. Upamiętniają je tablice i pomniki, dokumentuje albumik KAW-u. Wydawnictwo to jest jedną z wielu inicjatyw [illegible] od 1958 roku Klubu Byłych Więźniów Politycznych Zamku Lubelskiego i „Pod Zegarem".

● Zbiory Alfreda Gandy, znanego autora i kolekcjonera arcydziełek małego znaku drukarskiego, posłużyły dla zorganizowania w Muzeum im. Stanisława Staszica w Hrubieszowie ciekawej wystawy pt. „Sztuka ludowa w ekslibrisie polskim".

● W Galerii Leśnej Muzeum Kazimierza Dolnego — wystawa malarstwa Władysława Filipiaka, żyjącego i tworzącego w latach 1905—1975, jednego z najznakomitszych kolorystów polskich.

● Świątynię Sybilli w Puławach wypełniły „Śpiewy historyczne" Juliana Ursyna Niemcewicza. Rozdziały i cytaty z tego najpopularniejszego niegdyś wierszowanego podręcznika historii Polski „ilustrowane" oryginalnymi XIX-wiecznymi rycinami i obrazami, pamiątkami narodowymi i bronią, pochodzącymi z dawnych zbiorów ks. Izabelli Czartoryskiej, a obecnie — Muzeum Narodowego im. Czartoryskich z Krakowa tworzą wielce osobliwy pastisz dziejów, sztuki i literatury. Kolejna więc — po tkaninie artystycznej — propozycja Muzeum Regionalnego PTTK w Puławach ze wszech miar godna jest polecenia.

● Pro domo sua. Wśród laureatów tegorocznych nagród społeczno - kulturalnych prezydenta miasta Lublina znalazł się [illegible] J. Kamieński. [illegible] Marek A. Jaworski otrzymał z rąk ambasadora LRB w Polsce medal: „40 lat Rewolucji Socjalistycznej w Bułgarii".

(dey)

PRZEDŁUŻENIE KONKURSU

Organizatorzy konkursu „Sztafeta pokoleń — zrodził nas czyn" na wspomnienia z działalności w organizacjach młodzieżowych przedłużają termin składania prac do 30 czerwca 1986 r. Pierwsza nagroda, przypominamy, 30 tysięcy złotych! Prace należy przesyłać do Wojewódzkiej Komisji Historii Ruchu Młodzieżowego ZW ZSMP, ul. 22 Lipca 7, Lublin, tam też można uzyskać wszelkie szczegóły dotyczące konkursu.

Manhattan dla ubogich

Bolesław Stelmach

ZADZIWIAJĄCY jest upór, z jakim rodzimi architekci demolują resztki krajobrazu Lublina. Gdy spoglądam na panoramy śródmieścia — obszaru mniej więcej między ulicami Świerczewskiego, Lipową, Al. 1000-lecia, Rusałką — odnoszę wrażenie, że nasza współczesna działalność budowlana to rodzaj brutalnego gwałtu najpierw na zasadach budowy miasta, potem na jego tkance.

Element, który szpeci, to wieżowce, zdawać by się mogło — jedyna współczesna forma prawdziwie opisująca swoje czasy. Używam zresztą terminu umownego, bo cóż to za wieżowce — XI-piętrowe budynki, przeważnie mieszkalne, to ledwo namiastka wieżowców, ale jakże dla nas charakterystyczna! Tak więc pojawiają się te „świadectwa wysokiej techniki" dosłownie wszędzie, w każdej sytuacji przestrzennej Lublina: w pierzei ulicy, przy placu, na skarpie, w terenie płaskim. Są środkiem na wszelkie kompozycyjne sytuacje w mieście. Jeżeli budujesz w centrum Lublina — to na pewno wieżowiec. Na rogu Okopowej i Narutowicza — wieżowiec, Dolna Panny Marii — wieżowiec, Wieniawska — wieżowiec, na tyłach Urzędu Wojewódzkiego — agresor w skali garbatego olbrzyma. Nawet w okolicy Lubartowskiej ma stanąć 40-metrowy budynek. Przy Dąbrowskiego wyrósł budynek o niebanalnej urodzie, ale przecież nie mogący konkurować z neogotyckimi koronkami szkoły Vetterów, które zasłonił! Może ktoś powiedzieć, że akurat inny problem, bo nie chodzi o wieżowiec. Dla mnie to ta sama kwestia — kultury proponowanej przez projektantów przestrzeni, czyli stosunku do historycznego otoczenia.

Prawie wszystkie, choć jest i parę dobrych, nowe realizacje są przeskalowane, wyłamane z linii zabudowy, bez kontekstu, samotne nad morzem kamienic czynszowych i wysokich drzew. Niegdyś niepisane, a potem pisane prawo mówiło, że budowla nie może być wyższa od dorosłych drzew, gdyż inaczej powstaje skala człowiekowi obca. Tak zbudowano tradycyjne śródmieście Lublina, w którym większość z nas czuje się świetnie, i o tej właśnie przestrzeni zwykło się mawiać: „miasto". Ze względu na niski z reguły standard starej zabudowy pożądane są uzupełnienia, remonty, plomby. Tyle, że przy okazji inwestor „wymusza" wysokie (XI-piętrowe) budynki jako bardziej opłacalne, bo dające więcej mieszkań, większą intensywność zabudowy.

To ostatnie przekonanie jest mitem, który w teorii inwestycyjnej obalono już dawno, i to dokładnymi wyliczeniami. Intensywność zabudowy nie zależy bowiem od jej wysokości. Nawet CZSBM stara się zwalczać wysokie budownictwo mieszkaniowe jako uciążliwe i kosztowne w budowie i eksploatacji. Swoisty woluntaryzm decyzji przestrzennych w tym względzie musi opierać się na innych przesłankach, skoro momenty ekonomiczne nie mają wagi decydującej. Otóż, moim zdaniem, działa tu nierozerwalny tandem oportunizmu inwestora i dyktatu wykonawcy oraz pychy i poczucia posłannictwa architektów w niesieniu wartości „nowej estetyki". Wieżowce w tym kontekście to symbol źle pojętej nowoczesności i postępu w ogóle.

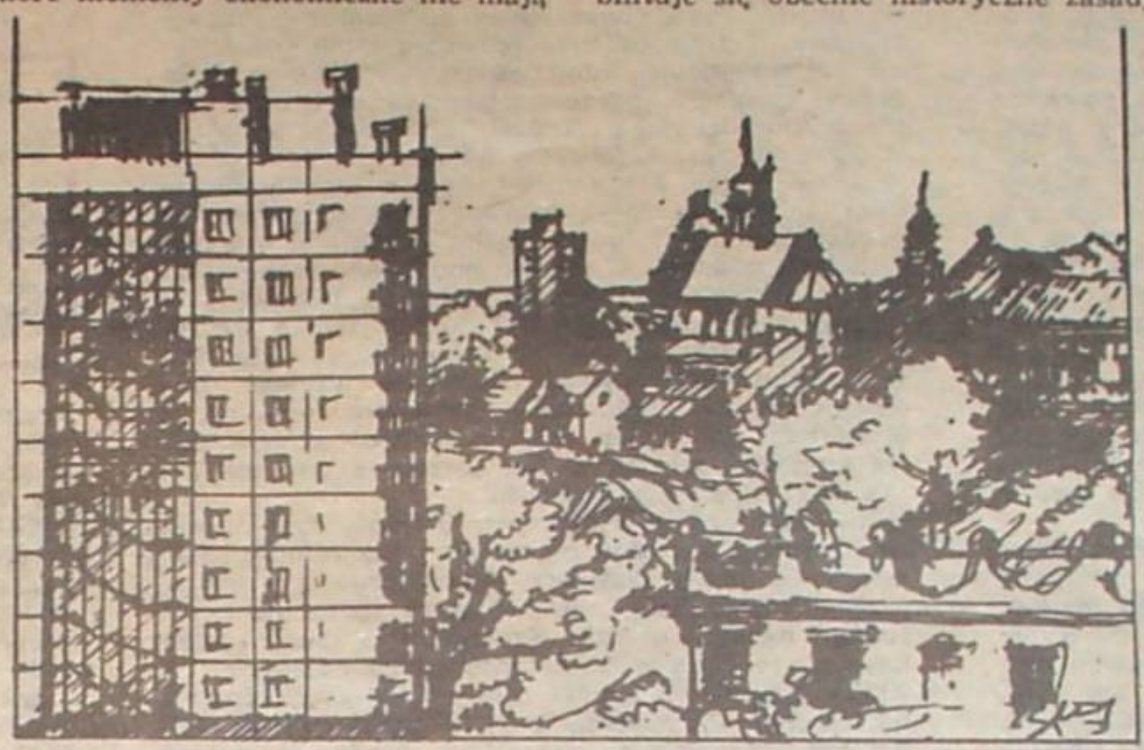

Rys. autora

Niegdyś dom stał równo koło domu, gzyms łączył się z gzymsem, ulice i plac miały podobne gabarytami pierzeje. Tworzyło to ściśle zdefiniowaną morfologię miasta i każda historyczna formacja zaznaczała się „dopisaniem" do zastanej struktury nowych wartości, nie zmieniając zasady. Dzisiaj uznano, że jednolitość gabarytów przestrzennych to grzech. Trzeba tak projektować, aby było kontrastowo, żeby robić „akcenty" i „dominanty".

Miasto jako forma nadrzędna zostało zdominowane przez poszczególne obiekty — wysokie kostki, ważne dla ich projektantów tylko jako wydzielone i niezależne wartości, wysoce zresztą wątpliwe. Zdemolowano zakodowany już przecież krajobraz informacyjny: raptem budynek mieszkalny stanowi konkurencję dla ratusza, katedry czy pałacu. Jest to oczywiście oznaką zmiany hierarchii wartości, a dla mnie — ich dewaluacji. Tak czy inaczej nie można z taką beztroską zezwalać byle spółdzielni mieszkaniowej na dominację w krajobrazie Lublina.

W niezliczonych publikacjach, a na Zachodzie także i realizacjach, rehabilituje się obecnie historyczne zasady kształtowania miasta; należy dbać o wartości, które posiadamy, aby nie trzeba było ich potem rekonstruować. Tymczasem koledzy po fachu stoją na gruncie estetyki „pudełka", gdzie naczelną zasadą jest lekceważenie otoczenia. Prymitywne formy i detale dyktują ubóstwo wykonawstwa, które zmusza architektów do śmiesznie płytkich wypowiedzi projektowych.

Gdy porównujemy przedwojenne (ale i powojenne socrealistyczne) pierzeje ulic, to poza detalem widać cechujący je ład i konsekwencję. Jeżeli dziś nie stać nas na piękną architekturę, niech będzie przynajmniej skromna i harmonijna. Niestety, odnoszę wrażenie, że obecne przeskalowanie ma wynagrodzić niedostatki formy. Osobiście bardzo lubię porównywać przestrzeń miejską do rozmowy elewacji, placów, alei, w której można zrozumieć przekaz, zachwycić się elokwencją rozmówców, tonem czy gustowną artykulacją. W tym dialogu kostka wieżowca jawi się jak dziki wrzask: „Wrzeszczę, więc jestem!"

Na tym tle widać, że zbyt wiele zależy od etyki zawodowej i świadomości ludzi, którzy zajmują się inwestowaniem. Dlatego może dziwić, że SARP w Lublinie nie jest zainteresowane tą problematyką, że nie organizuje się dyskusji środowiskowych, że nie próbuje się rozwiązywać tak ważnych dla miasta kwestii na drodze konkursów urbanistycznych. Mogą to być przecież przedsięwzięcia niewielkie, angażujące małe środki, a dające wariantowe odpowiedzi projektowe na koncepcje np. placów w Lublinie.

Gdy patrzę na dziwaczność rozwiązania przy skrzyżowaniu ulic Okopowej i Narutowicza, myślę sobie, że wiele zaprzepaszczono w obszarze urbanistyki, a ostatecznie pognębiła to architektura. Uważam, że absolutnie konieczne są konkursy na koncepcje najważniejszych obszarów krajobrazu śródmieścia — o formie i zakresie tych konkursów oczywiście można, a nawet trzeba dyskutować. Niedawno widziałem w Warszawie efekty podobnego konkursu na zasadę urządzenia placu Krasińskiego. Były to trzy (!) małe plansze wyłonionego projektu, bardzo trafnie i z dużą kulturą aranżujące plac. Nie ilość się liczy, lecz jakość. Stara to prawda.

Kompozycja pejzażu miejskiego to dzisiaj wypadkowa dostępności działki, opłacalności inwestycji (czyli wielkości kubatury), ułożenia torowiska dźwigu i wreszcie gdzieś na końcu decyzji władz urbanistycznych. Decyzje te nie mają właściwie cech personalnych — rozmywają się w zbiorowej odpowiedzialności biurokratycznego układu. Wynika to ze specyfiki naszych struktur zarządzania, a więc także inwestowania.

Roztrwonieniu krajobrazu Lublina mogłyby częściowo zapobiec mądre plany szczegółowe zagospodarowania — tzw. plany regulacyjne. W planie takim zapisuje się nieprzekraczalne prawa przestrzenne (linie zabudowy, wysokości budynków, bramy, przejścia, kształt placów, dominanty itp.), które wyznaczają ramy działań architektów-projektantów konkretnych kubatur. Podejmuje się więc decyzje urbanistyczne w interesie miasta, a ich obligatoryjny charakter może przyhamować proces degradacji przestrzeni.

Jestem sceptykiem co do całkowitego wyeliminowania tej degradacji, bowiem jedyny dostępny środek, jaki przychodzi mi do głowy, to cotygodniowe rekolekcje pod hasłem dobra estetyki miejskiej. Widzę więc możliwość zorganizowania metafizycznych spotkań, gdzie inwestorzy, projektanci i wykonawcy wezmą się za ręce i będą głęboko chcieli... A potem raźno pójdą budować kolejny punktowiec, bo mieszkania, bo statystyki, bo premie projektantów i wykonawców, bo plan, czyli nader konkretne przepisy i ich konsekwencje. Krajobraz miasta nie jest czymś do zmierzenia i rozliczenia w sprawozdaniach, a to tak, jakoby go nie było.

Okolice sztuki

Primum vivere

LUBELSKIE Spotkania Plastyczne rozpoczęły się w 1976 roku, trwały trzy lata z ogonkiem i były ostatnią w Polsce, wielką próbą wprowadzenia sztuki w przestrzeń społeczno-urbanistyczną. Malarstwo i rzeźba miały dekorować, indywidualizować oraz integrować poszczególne osiedla LSM, sytuując się na szczytowych ścianach budynków, w prześwitach pod blokami, wreszcie na trawnikach, gdzie ustawiono formy kamienne, metalowe i drewniane, z których w jednym miejscu (przy ul. Filaretów) zbudowano nawet coś w rodzaju galerii na wolnym powietrzu. Pomyślano też o sensownym „umeblowaniu" placów zabaw, o kompozycji zieleni (głównie w Osiedlu Sienkiewicza). LSP kosztowały 16 mln zł.

W imprezie uczestniczyło około 100 artystów, w tym kilkunastu architektów i grupa studentów uczelni plastycznych, skupiona wokół krępej, witalnej i straszliwie dynamicznej postaci Mariana Bogusza, który był komisarzem I etapu Spotkań i wielce gorszył osoby chorujące na europejskość. Mistrz nie znosił sprzeciwu i długich deliberacji, wyrażał się niecenzuralnie i brutalnie gonił ludzi do roboty, choć wielu z nich miało ochotę perypatetycką. Plastyków dorosłych irytowali też jego wychowańcy z UMCS; dwoje zacnych grafików naskarżyło i do mnie na młodzież, która wystąpiła z projektami przemiany dzielnicy uniwersyteckiej w wielką pracownię wesołych zabaw malarskich i pararzeźbiarskich. Jeśli dobrze pamiętam, to dom akademicki „A" studenci pragnęli upodobnić do kolorowej lokomotywy — żałujmy, że do tego nie doszło!

Spory ideowe czy obyczajowe, kontrowersje między administracją kulturalną a lubelskim związkiem plastyków, trudności z uzyskaniem odpowiednich materiałów do realizacji projektów — to wszystko nie osłabiło impetu, z jakim od początku rozwijały się Spotkania. Rzecz w tym, że impreza miała: zręcznych organizatorów, niekłamane poparcie mieszkańców LSM oraz wojewódzkiej instancji partyjnej. Obok Edwarda Fijałkowskiego, Mieczysława Białasa i Stanisława Kukuryki właśnie Ryszard Wójcik, ówczesny I sekretarz KW, okazał się zagorzałym zwolennikiem przedsięwzięcia. Przy jakiejś okazji zauważył on trafnie, że „plastycy poprawiają to, co zostało stworzone przez architektów i wykonawców". Wójcik znalazł się politycznie: nie powiedział „spaprane", lecz „stworzone".

W ostatnich czasach okazało się jednak, że artystom nie udało się poprawić tego wszystkiego, „co zostało stworzone przez architektów i wykonawców", którzy ulepili ściany szczytowe wielu budynków LSM tak zmyślnie, że wody deszczowe zaczęły przesiąkać do mieszkań, stymulując życie emocjonalne lokatorów i wegetację specjalnego grzybka — skurczybyka. Nie pozostało nic innego, jak ubranie owych ścian nieszczęsnych w metalowe koszulki na wacie szklanej.

Z tych oto względów i takim sposobem pod płatami brązowej, żółtej i szarej blachy znalazły się też malowidła z lat 1976—1979, pokrywające np. ściany szczytowe bloków przy ulicach: Leonarda (nr. 5, 7, 9, 11, 13), Krasińskiego (nr. 16, 18) oraz Irydiona 2. Na wieżowcach Osiedla Sienkiewicza nie ma już wielkich czarnych kropek, tak prosto i sugestywnie identyfikujących ten rejon LSM. Blacha zasłania prace Aliny i Andrzeja Grzybowskich, Romana i Eugeniusza Nygów oraz Jana Ziemskiego (kropki). Podobny los czeka inne malowidła na szczytach...

No cóż, primum vivere.

Uzasadnione są zresztą obawy, że diabli wezmą wszystkie kompozycje malarskie. Minął właśnie dziesięcioletni okres gwarancji na farby, którymi posługiwano się podczas Spotkań, powierzchnie założone pigmentem łuszczą się i pękają, a ponadto są brudne i podrapane. Tymczasem LSM nie stać na wielce kosztowną konserwację owych dzieł, którą mogliby ewentualnie przeprowadzić autorzy pierwotnych kompozycji. Zapewne rozsypią się też drewniane rzeźby (w większości zresztą szkaradne), które miejscami gniją i próchnieją — bo nikt w kraju nie dysponuje środkami skutecznie i trwale konserwującymi drewno.

A przecież Jerzy Hryniewicki, superarbiter Spotkań, już w 1976 roku powtarzał: „Niczego nie wolno robić z tandetnych materiałów".

A Feliks Haczewski, konsultant imprezy i projektant Osiedla Mickiewicza, podkreślał: „Wszystkie prace powinniśmy dostosowywać do polskiego klimatu".

Ba, ale czy sami polscy architekci przejmowali się takimi radami swych słynnych kolegów, skoro zafundowali nam budownictwo tandetne, podziurawione licznymi i dużymi otworami, jakbyśmy nad Morzem Śródziemnym żyli?!

Krzepko przecież trzymają się rzeźby z piaskowca, granitu, marmuru, metalu sztucznego kamienia i tworzywa. Tylko jedna, bodaj ceramiczna, podobna do tzw. sarkofagu Etrusków, rozpadła się nieco, by pewnego dnia zniknąć z ul. Filaretów — ku zadowoleniu niżej podpisanego.

Próbę czasu wytrzymała większość mozaik w prześwitach oraz dwa wielkie, białe reliefy na ścianach szczytowych przy ul. Irydiona 4 i 6, autorstwa Zdzisława Stanka, Stanisława Hochóła i Bolesława Nowickiego...

W Zarządzie LSM ubolewają nad tym, czego nie można było uratować, i zapewniają, że wszystkie pozostałe realizacje zostaną oczyszczone, podreperowane i wyeksponowane. Prezes, inżynier Jan Gąbka, myśli też o przywróceniu (w metalu) czarnych kropek na wieżowcach, a przy okazji ubolewa, że wbrew obietnicom nie wykonano podczas Spotkań stelaży, estetycznych słupów ogłoszeniowych i różnych znaków informacyjnych, bardzo przecież potrzebnych w osiedlach.

Tymczasem weszło już w zwyczaj (!), że dzieci z Osiedla Prusa fotografują się „na pamiątkę" przy granitowej foce i takimże delfinie Adama Prockiego. Spod warszawskiej pracowni tego artysty przywieziono zresztą niedawno, w październiku minionego roku, kolejne zwierzę, mianowicie ptaka „Pingwina" o wadze 1,5 tony. Rzeźbiarz pragnie, by wszystkie trzy stworzenia popasały razem, przy jakimś „oczku" wodnym, delfin — koniecznie w pozycji stojącej.

Ba, ale czy znajdzie się w Polsce człek mądry, który za niezbyt wygórowaną cenę postawi na sztorc delfina o wadze kilkuset kilogramów?!

IJK

Janusz Kusy:

Zapytany, z jakimi odczuciami, problemami, przemyśleniami udaje się na X Zjazd PZPR, Janusz Kusy odpowiedział:

— Na zjazd udaję się przede wszystkim z nadzieją, iż wypracuje on formułę na przełamanie kryzysu gospodarczego i społeczno-politycznego. Kryzysu się nie rozdziela. Jeśli ludziom będzie się lepiej żyło, będzie to wpływało na zachowanie społeczno-polityczne społeczeństwa. Dyskutanci na przedzjazdowych spotkaniach także wyrażali pragnienie, żeby gospodarka szybko odzyskała siły, a społeczeństwo odczuwało poprawę. Nie wątpię, że to nadzieja całego narodu polskiego.

A w zakładzie? Musi nastąpić stabilizacja zaopatrzenia w materiały i surowce. Bez tego nie sposób prowadzić normalnej pracy. Nie możemy czekać na kooperanta. W obecnej sytuacji powstają nienaturalne przerwy w pracy, a terminy planu pozostają sztywne. Powoduje to nerwowość i niepotrzebne zadrażnienia, ma zły wpływ na atmosferę w przedsiębiorstwie. Ludzie widzą także potrzebę powiązania płacy z pracą. Jeśli będzie tu rzeczywiste odniesienie tych dwóch spraw, ludzie sami zaczną eliminować tych słabych. Nie będzie to żadna strata. Zespoły ludzkie szybko poradzą sobie z nieprzydatnymi. Pewnym krokiem w tym kierunku jest już prowadzona atestacja stanowisk pracy. Szkoda, że przyszła tak późno. Były co prawda przeglądy kadr kierowniczych i dozoru średniego, ale nie miało to takiego globalnego charakteru jak obecnie. Wierzę, że to bardzo celowe i korzystne działanie.

Szansę i nadzieję załogi WSK stanowi uruchomienie nowych wyrobów. Sam jestem mistrzem na wydziale, gdzie wdraża się produkcję nowego polskiego śmigłowca „Sokół". Widzę na co dzień, że przy tej pracy atmosfera jest inna. Ludzie muszą rozwiązywać nowe problemy, uczyć się, dokształcać. Obserwuje się większe zaangażowanie. Jest trochę kłopotów z uruchomieniem nowego produktu, jeszcze wiele niedogodności, wiele konsultacji ze służbami technicznymi, podnoszą się nawet głosy, czy ta produkcja będzie opłacalna, ale ta praca jest ciekawa. Odczucia naszej załogi idą dalej. Uważa się, iż produkować tylko jeden produkt to za mało. Należy szukać nowych prototypów. Sprzęt lotniczy długo się rodzi, ale szybko starzeje. Nie chcemy powtórzyć podobnych błędów jak przy motocyklu.

Kształtuje się świadomość środowiska. Do tej pory mieliśmy tylko jeden Zakładowy Dom Kultury, przedsięwzięcie z lat 50-tych. Obecnie powstał już społeczny komitet budowy drugiego. Widzimy ponadto potrzebę powstania internatu ze stołówką dla potrzeb szkół przyzakładowych. Teraz ci młodzi ludzie zmuszeni są płacić ciężkie pieniądze za stancję (nieraz 3—4 tysiące zł miesięcznie). Dlaczego? Przecież to nasi przyszli pracownicy.

WSK — to miasto; Świdnik wyrósł przy zakładzie. Tych dwóch organizmów nie można rozdzielać. Dlatego interesuje nas wszystko, co dzieje się w mieście. Przede wszystkim budownictwo mieszkaniowe. Trzeba by było rozwinąć małe spółdzielnie — zakładowe, młodzieżowe, wydziałowe. Sam jestem społecznie prezesem Spółdzielni Budownictwa Jednorodzinnego „Radość" i wierzę w tę formę wyrównywania niedoborów mieszkaniowych. Obraża mnie trochę, kiedy mówi się o bogactwie Świdnika, o mieście zagranicznych kontraktowców. I bardzo dobrze. Ci ludzie ciężko i uczciwie pracują. Składają podania o działki budowlane, trzeba im dawać zezwolenia. Istnieje potrzeba budowy oddzielnych budynków dla Urzędu Miejskiego, RUSW i innych instytucji. Do dziś mają one swe siedziby w blokach mieszkalnych. Struktura takiego budownictwa nie odpowiada potrzebom urzędów, a umniejsza się w ten sposób rezerwy mieszkalne. Na szczęście nie jest u nas jeszcze z tym tak źle jak w Lublinie czy Kraśniku.

Niepokoi nas przestępczość. Ostatnio całe miasto zbulwersowało głośne morderstwo na osiedlu „Radość". Grupowe zjawiska złodziejstwa, przestępczości gospodarczej, nieróbstwa są sprzeczne z zasadami naszego ustroju. Szczególnie kobiety narzekają na te chmary bumelantów obsiadających stoliki w piwiarni i legitymujących się zwolnieniami lekarskimi. Przychodzą z tymi sprawami do oddziałowej organizacji partyjnej, skarżą się, proszą o interwencję. Chciałbym, żeby podstawowe organizacje partyjne umocniły się w terenie, żeby mogły same rozwiązywać swoje problemy. Są one przecież najbliżej ludzi i nie milczą. Może rozwiązują drobne bolączki, ale są to wszystko sprawy wokół człowieka.

Wiele zastrzeżeń budzi na przykład cały nasz system handlowy. Porozrastały się jakieś giełdy, bazary, ajencje, i to one niejednokrotnie podpowiadają wysokość tzw. cen umownych. Z mojego punktu widzenia należy rozwijać rzemiosło, firmy polonijne, inne pożyteczne placówki handlowe, pod warunkiem jednak, aby nie wymykały się one spod kontroli państwa.

Na zjeździe nie zabraknie więc spraw do omówienia. Wierzę, że uporządkuje on wszystkie słuszne postulaty i nada impuls ich realizacji.

Fot. Tadeusz Chwalczyk

Janusz Kusy urodził się 18 lipca 1944 roku w Stryjnie, woj. lubelskie, w rodzinie chłopskiej. W 1962 roku mając niespełna 18 lat, zgłosił się do pracy w WSK Świdnik. Pracuje tam do chwili obecnej, kierując, jako mistrz, wdrożeniem do montażu najnowszej produkcji WSK — śmigłowca „Sokół". Jest żonaty, ma dwoje dzieci. Członek PZPR od 1967, od 1979 — I sekretarz Oddziałowej Organizacji Partyjnej na Wydziale Montażu Śmigłowców. Za pracę społeczną uhonorowany: Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem 40-lecia PRL, Medalem Zasłużony Pracownik WSK. Delegat na X Zjazd PZPR.

Izabella Sierakowska:

Izabellę Sierakowską spotykam w gabinecie prezesa Oddziału Miejskiego ZNP przy ulicy Akademickiej. Odbiera telefony, przegląda pisma, pracowicie bada sprawę, której załatwienie ciągnie się... od 22 lat, a w sekretariacie czekają już następni interesanci. Kiedy skończymy tę rozmowę, zbierze się ich kilkunastu. Mimo przeziębienia czeka ją jeszcze zebranie nowo wybranego Zarządu Oddziału i parę kolejnych pilnych spraw. Południe minęło już dawno. Społecznicy rzadko korzystają z prawa do chorobowej absencji.

— Wiem, że na zjazd każda grupa zawodowa przyjedzie z własnymi problemami — mówi pani Izabella. — To normalne. Rolnik będzie apelował o priorytet dla rolnictwa, hutnik dla przemysłu metalurgicznego itd. I teraz pozostanie kwestia wyboru. Trzeba będzie określić te najbardziej ważne z najważniejszych spraw; wyważyć właściwe proporcje, nie pominąć niczego, co istotne, nie zagubić autentycznych potrzeb, ale także jasno określić cele nadrzędne. W tym zespole rzeczy najważniejszych nie może zabraknąć oświaty. A z nią wiąże się ogrom spraw. Choćby program oszczędzania.

Nasze środowisko pozostaje zbulwersowane stanowiskiem władz centralnych w kwestii tzw. oszczędności w oświacie. Tak często mówi się, że na oświacie nie można oszczędzać i że jeśli oszczędzać, to dla oświaty. Owszem, my także jesteśmy przeciwko marnotrawstwu i niegospodarności, ale nie godzimy się na okrajanie przy tym inwestycji. Wychodzimy z konkretnymi propozycjami; niech oszczędności polegają na produkowaniu takich mebli, które nie rozpadną się po kilku miesiącach; tworzeniu takich podręczników, których nie trzeba będzie zmieniać co roku. Dzisiaj na lekcjach tego samego przedmiotu uczniowie dysponują kilkoma różnymi podręcznikami. To absurd. Kogo teraz stać na świecie na prowadzenie polityki takiej rozrzutności. Rozdawanie podręczników nieodpłatnie ma z kolei wyrobić w uczniach szacunek dla społecznego dobra. W rzeczywistości, i to trzeba sobie jasno powiedzieć, wciąż jeszcze pokutuje u nas świadomość szacunku dla dobra własnego. Bądźmy więc oszczędni, ale uczciwie i zgodnie z autentyzmem życia; w żadnym wypadku nie szukajmy rezerw kosztem nakładów na cele oświatowe i socjalne. Nie bierzmy przykładu z Belgii. Jeśli już mamy szukać wzorców, zobaczmy, jak mają zorganizowane szkolnictwo Rosjanie. Oni zdają sobie sprawę z tego, czym dla kraju jest oświata. W ostatecznym rozrachunku od nas zależy, jaki będzie robotnik, rolnik, inżynier.

Obecna kadra nauczycielska nie ma tymczasem oblicza. Trafiają do szkół ludzie przypadkowi, poszukujący, zagubieni, bez zawodowej pasji. Przyjmuje się wszystkich, nie pytając nikogo o przeszłość, poglądy, ambicje. Oczekiwania ideowo-moralne powinny być w stosunku do nauczycieli szczególnie wysokie, a nie są. Trudno się wszakże takiej sytuacji dziwić, skoro zasady ekonomiczno-etyczne opuściły szkołę. A przecież wysokim wymaganiom powinno towarzyszyć jednocześnie wysokie wynagrodzenie. To prawda oczywista. Tylko wtedy przyciągniemy do zawodu odpowiednich ludzi, prawdziwych fachowców, pozbędziemy się odpływu wartościowych kadr. Obecnie my, nauczyciele, musimy dorabiać na korepetycjach, by żyć na jakim takim poziomie. Wymaga się zaś od nas bardzo wiele.

Nierealizowanie w praktyce artykułu 31 Karty Nauczyciela, który mówi o tym, że średnia płaca w szkolnictwie nie może być niższa od średniej płacy kadry technicznej przedsiębiorstw, pozostaje źródłem rozgoryczenia całego środowiska. Oświata musi uzyskać przynajmniej 7 proc. w podzielonym dochodzie, zamiast obecnych 4,9 proc. Inaczej nie ma mowy o poprawie stanu narodowej edukacji.

Ale oświata to nie tylko, i nie przede wszystkim, zarobki. To właściwa organizacja, zaplecze naukowo-metodyczne, programy nauczania i tysiąc innych spraw. Ostatnia Uchwała o Samorządzie Terytorialnym i Radach Narodowych, spełniająca oczekiwania w innych dziedzinach gospodarki, w szkolnictwie okazała się nieporozumieniem. Koliduje z Kartą Nauczyciela. Od stycznia 1985 roku nadzór pedagogiczny mianowany jest przez prezydentów miast czy naczelników gmin. Funkcje kierownicze przechodzą często w ręce ludzi niekompetentnych, nie znających problematyki pedagogicznej; ludzi, których znajomość szkoły datuje się z własnych odległych doświadczeń lub z opowiadań dorastających dzieci. W Lublinie problem ten na szczęście nie istnieje, jednak w terenie objawia się nader często. Tam oświatą coraz częściej zarządzają urzędnicy. Nie wpłynie to na pewno korzystnie na funkcjonowanie szkolnictwa. Dawny system pionowej organizacji kształcenia, od ministra, poprzez kuratora, do inspektorów - metodyków, gwarantował przynajmniej właściwy dobór kadr i wysoki poziom ich fachowości.

Budownictwo oświatowe. Buduje się dużo (55 rozpoczętych inwestycji na terenie województwa). To uczciwy dorobek i chwała za to władzom wojewódzkim. Zaległości z początku lat 80-tych są jednak ogromne. Szkoły zbudowane dla 600, 700 osób zmuszone są pomieścić nieraz do 2 tysięcy uczniów. Programy nauczania są często zmieniane, przeciążające ucznia, mało powiązane z autentycznym życiem. Opieka zdrowotna pozostawia wiele do życzenia. W wielu szkołach brakuje lekarzy, nawet tam, gdzie nadzór medyczny jest koniecznością. Dzieci nasze są obecnie chore i słabe. Mówił o tym Mirosław Hermaszewski na Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej. Na dziesięciu kandydatów zgłaszających się do szkoły lotniczej, jeden odpowiada wymogom zdrowotnym. To tylko niektóre z najbardziej dokuczliwych bolączek.

Fot. Robert Lipski

Izabella Sierakowska urodziła się 22 września 1946 roku w Górze Śląskiej woj. leszczyńskie. Od 1970 roku jest nauczycielką języka rosyjskiego w I Liceum Ogólnokształcącym im St. Staszica w Lublinie. Mężatka, ma dwoje dzieci, jest członkiem PZPR od 1980 roku. Od dwóch kadencji pełni funkcję prezesa Oddziału Miejskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Lublinie. Delegatka na X Zjazd PZPR.

Od początku swojej kariery zawodowej jestem nauczycielką. Pozostaje mi więc jeszcze młodzież. Mam z nią ciągły, żywy kontakt. Czasami spora część lekcji schodzi nam na dyskusjach, rozmowach, rozważaniach. Młodzież jest krytyczna, ale w ogromnej większości uczciwa i mądra. Ceni wysoko ludzi prezentujących zdecydowane poglądy; jest nieufna wobec tych, którzy je ciągle zmieniają. Właśnie z kontaktu z nią czerpię zadowolenie i wciąż nowe inspiracje; nowe impulsy do działania. To ona przekonuje mnie o naszej ogromnej odpowiedzialności i mobilizuje do ustawicznej pracy nad sobą.

Swój wybór na zjazd traktuję nie tylko jako wyraz uznania dla osobistej aktywności, ale przede wszystkim, jako wyraz doceniania przez partię roli oświaty w naszym życiu społecznym, a także roli naszego związku. Jestem przecież nauczycielem i związkowcem. ZNP to zrzeszenie o ogromnych tradycjach; to związek, który z niepokoju wczesnych lat 80-tych wyszedł ze stosunkowo najmniejszymi stratami. Dziś zrzesza około 60 proc. nauczycieli województwa. Jest aktywny i walczący o interesy swoich członków, ale także i szkolnictwa jak najszerzej pojętego.

Od zjazdu oczekuję uporządkowania naszego publicznego życia. Mniejszej liczby uchwał, ale mających za to rzeczywiste szanse realizacji. Partia idzie na swe najwyższe forum z podniesioną głową, umocniona i uaktywniona. Projekt programu i Tezy Zjazdowe wzbudziły w naszym środowisku ogromne zainteresowanie. Dokumenty te mówiły przecież o sprawach całego narodu. Liczę, że program, który wypracujemy, będzie programem, o którym zdecydowana większość Polaków powie: „To jest mój program".

Wtedy już będzie dobrze.

Notował: W.H.

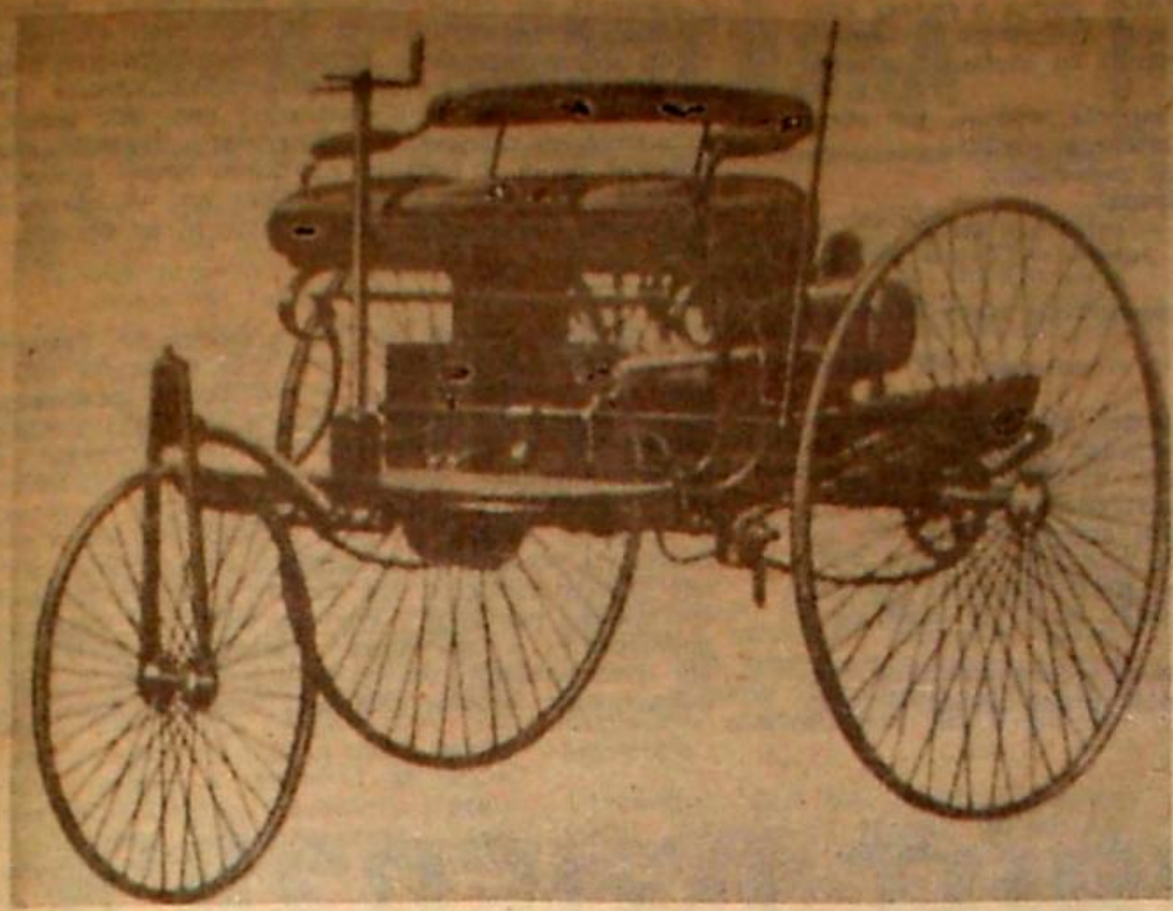

Trójkołowiec Carla Benza z 1885 r.

ROK SAMOCHODU

Narodziny

Aleksander Rummel

SAMOCHÓD w dzisiejszym powszechnym tego słowa znaczeniu to pojazd o czterech lub większej parzystej liczbie kół, napędzany silnikiem spalinowym i zasilany paliwem płynnym. Obchodzi on w bieżącym roku stulecie swego urodzenia, a jego powstanie i rozwój aż do formy samochodu klasycznego chciałbym tutaj krótko omówić.

Pierwszy pojazd odpowiadający wyżej podanej definicji został opracowany i wykonany przez niemieckiego inżyniera Gottlieba Daimlera, który wyjechał nim na ulice miasta Cannstadt latem 1886 roku. Stuletnia rocznica tego wydarzenia spowodowała, iż rok 1986 został uznany przez społeczność międzynarodową „Rokiem Samochodu".

Należy jednakże zaznaczyć, iż kilka miesięcy wcześniej niż Daimler, bo jesienią 1885 r., zadebiutował w Mannheim bardzo zdolny mechanik Carl Benz. Pojazd jego miał jednak trzy koła, wobec czego pierwszeństwo wynalazku samochodu przyznano Daimlerowi. Zresztą i sam Benz uznał zalety czterech kół; jego następnym pojazdem był już samochód czterokołowy, któremu Benz nadał nazwę „Victoria".

Wszelako automobile nie mogłyby się ukazać na drogach, gdyby nie poprzednio opracowane i wykonane silniki o wymiarach, masach i mocach umożliwiających ich wbudowanie jako napędu pojazdów wzorowanych na bryczkach konnych. Ponadto nie byłoby w tym czasie odpowiednich silników, gdyby nie przełomowy rok 1867, kiedy opatentowany został obieg czterosuwowy, zgłoszony przez pochodzącego z Kolonii Nicolasa Otta. Patent ten był poprzedzony i uwarunkowany ważnymi badaniami nad zagadnieniem spalania. Pionierem ich był Anglik Barber, który już od 1791 r. badał spalanie gazu pod ciśnieniem barometrycznym. Następnymi byli Anglicy Barnet i Wright oraz Francuz Degrande, zajmujący się w latach 1833—1858 sprężaniem i spalaniem gazu pod podwyższonym ciśnieniem.

Patent Otta, z którym zapoznali się entuzjaści i kręgi fabryczne, przyczynił się niezaprzeczalnie do szybkiego rozwoju i wdrożenia produkcyjnego silników spalinowych, w pierwszej kolejności stacjonarnych, napędzanych gazem miejskim, a następnie umieszczanych w pojazdach a napędzanych mieszankami benzynowo-powietrznymi. Do dojrzałości konstrukcyjnej i eksploatacyjnej wspomnianych silników spalinowych przyczynili się przede wszystkim: Otto, Daimler i Maybach w zakładach Deutz w Kolonii oraz Carl Benz w firmie Mannheimer Gasmotoren Fabrik AG, której był współwłaścicielem. Dodam, że pomimo tego, iż w Niemczech silnik czterosuwowy z zapłonem iskrowym nazywa się do dziś oficjalnie „Ottomotor", sam Otto miał początkowo pewne trudności ze swoim patentem, zakończone sprawą sądową. Nie zatrzymuję się nad tym, gdyż jest to już dziś kwestia przebrzmiała.

Ponieważ ktoś może spytać o silnik dwusuwowy lub tzw. diesla, chciałbym dodać na marginesie, że obieg dwusuwowy został opatentowany przez Anglika Clarka w 1878 r., natomiast silnik z zapłonem samoczynnym przez Niemca dr. inż. Rudolfa Diesla w 1882 r. Nie opisuję tych silników, gdyż oba ich rodzaje stosowano w samochodach dopiero od połowy lat dwudziestych, a dwusuw stracił już dziś swoje znaczenie jako napęd samochodu.

Pierwszy samochód Daimlera napędzany był jednocylindrowym silnikiem o mocy 1,1 KM przy 650 obr./min. i pojemności skokowej 462 cm³, natomiast trzykołowy pojazd Benza również z silnikiem jednocylindrowym o mocy 0,75 KM przy 450 obr./min.

Przez trzy lata istniało na świecie tylko kilka „automobili"; zajmowali się nimi bliżej wyłącznie obaj wynalazcy: Daimler i Benz, pracując nad doskonaleniem i usuwaniem niedomagań swoich pojazdów. Byli obserwowani jedynie z daleka przez bardzo nieliczne grono ludzi, interesujących się raczej teoretycznie postępem tych prac.

Przełom nastąpił w 1889 roku, gdy Gottlieb Daimler skonstruował po raz pierwszy w historii dwucylindrowy silnik widlasty i napędzany nim samochód na czterech kołach ogumionych wulkanizowanym kauczukiem i posiadających szprychy stalowe.

Silnik widlasty o rozwarciu 15° miał żeliwny kadłub jednolity i był chłodzony wodą. Pojemność skokowa wynosiła 1055 cm³, moc w wersji pierwotnej — 2,25 KM przy 700 obr./min., natomiast w wersji ostatecznej — 3,25 KM przy 800 obr./min. Samochód posiadał stożkowe sprzęgło cierne z okładziną skórzaną, czterobiegową skrzynkę biegów oraz mechanizm różnicowy. Samochód miał napęd na koła tylne poprzez układ kół zębatych i został nazwany Stahlrad-Wagen.

Samochodem tym, a w szczególności silnikiem widlastym, zaczęły się interesować fabryki zagraniczne, z których dwie francuskie (Peugeot i Panhard-Levassor) zakupiły licencje widlastego silnika Daimlera, przystępując równocześnie do produkcji samochodów własnych.

Był to początek znacznej rozbudowy fabryk Daimlera i Benza, które przystąpiły do seryjnego wytwarzania swych samochodów, w tym już i odmian towarowych. Był to też początek przemysłów samochodowych w Europie i Ameryce.

Pierwszy etap kształtowania samochodów zakończony został rewelacyjną konstrukcją Daimlera, która pojawiła się na rynkach światowych w latach 1901—1902, tworząc znane jeszcze dziś pojęcie samochodu klasycznego.

Samochody te napędzane były gaźnikowymi, chłodzonymi wodą, czterocylindrowymi silnikami rzędowymi o mechanicznie sterowanych zaworach ssących. Moc ich wynosiła 40 KM przy bardzo wysokich, jak na ówczesne czasy, 1200 obr./min. i objętości skokowej 5900 cm³. Tak wysokie i przy tym stabilne prędkości obrotowe silnika udało się uzyskać dzięki firmie Bosch w Stuttgarcie, która opracowała znakomite iskrowniki wysokiego napięcia i niezawodne świece zapłonowe, które wsławiły firmę Bosch na całej kuli ziemskiej. Silnik, umieszczony z przodu samochodu za chłodnicą, napędzał koła tylne łańcuchami Gaila, poprzez czterobiegową skrzynkę biegów z biegiem wstecznym i mechanizm różnicowy. (Napęd łańcuchowy zamieniony został wkrótce napędem kardanowym i sztywną pochwą mostu tylnego z obciążonymi półosiami).

Samochód miał prasowaną ramę stalową o przekroju ceowym, kutą oś przednią o przekroju dwuteowym i zawieszony był na półeliptycznych resorach piórowych. Układ kierowniczy składał się z przekładni ślimakowej, drążków podłużnego i poprzecznego oraz kolumny kierowniczej z kołem sterowym. Rozstaw osi wynosił 2,45 m, rozstaw kół 1,45 m. Drewniane koła o równych średnicach miały ogumienie pneumatyczne.

Samochód nosił nazwę „Simplex" i budowany był w wersjach otwartych i zamkniętych.

W 1903 r. Daimler wprowadził do nazwy firmy „Daimler" słowo „Mercedes" dla upamiętnienia imienia pięknej córki swego wybitnego przedstawiciela w Nicei Emila Jellinka, który poza doskonale prowadzoną sprzedażą samochodów udzielił Daimlerowi szereg cennych rad. Nowy znak firmowy został poza tym uzupełniony, do dziś stosowaną, gwiazdą trójramienną.

Dopiero znacznie później firmom MAN w Augsburgu i Bosch w Stuttgarcie udało się po sześcioletnich, intensywnie prowadzonych badaniach zakończyć w 1923 r. lekką szybkobieżną odmianę silnika wysokoprężnego, przydatną do zastosowań samochodowych. Stało się to możliwe m.in. dzięki zastąpieniu ciężkiego zespołu sprężarkowego, wdmuchującego do cylindrów emulsję paliwowo-powietrzną, lekką pompą typu Bosch, wtryskującą do cylindrów czysty olej napędowy. Stosowanie pierwszych silników wysokoprężnych do samochodów ciężarowych i autobusów rozpoczęło się w 1924 r., natomiast do samochodów osobowych w dziesięć lat później.

Na szybkość rozpowszechniania się samochodów i motocykli wskazuje fakt, że już w 1913 r. na terenie tylko samej Rzeszy Niemieckiej pracowało w przemyśle samochodowym około 36 000 ludzi, a liczba pojazdów samochodowych zarejestrowanych w Niemczech wynosiła w tymże 1913 r. łącznie około 100 000 jednostek, w tym około 55 000 samochodów osobowych, około 20 000 ciężarowych i około 25 000 motocykli. Na bardzo wysoki poziom samochodowej kadry twórczej wskazuje osiągnięcie już w 1911 r. przez 200-konny samochód wyczynowy firmy Benz szybkości 228 km/godz.

W okresie, gdy przemysł europejski konstruował, badał i wytwarzał duże ilości samochodów, a przemysł amerykański przeszedł już do produkcji masowej, Polska niepodległa jeszcze nie istniała. Gdy w latach 1918—1921 wywalczono niepodległość, na terenie całego ówczesnego państwa polskiego nie było żadnego przemysłu motoryzacyjnego ani nawet jego tradycji, abstrahując od niezrealizowanych zaczątków „fabryki automobili" w Krakowie w latach 1911—12 oraz fabryki samochodów „Automotor" w 1917 r. we Lwowie. Istniały jedynie bardzo nieliczne i małe warsztaty naprawcze samochodów osobowych w większych miastach oraz kilka równie niedużych niemieckich i austriackich wojskowych warsztatów, powstałych podczas wojny a umieszczonych przy zbrojowniach m. in. w Krakowie, Rzeszowie oraz Brześciu nad Bugiem.

Jedyny większy zespół niemieckich wojskowych warsztatów samochodowych mieścił się w Warszawie. Warsztaty te, o nazwie Zentrale Automobilwerkstätte des Heeresverwaltung Ober-Ost, znajdowały się przy ul. Terespolskiej 34/36. Były one nieźle wyposażone w obrabiarki uniwersalne i prowadziły wszelkiego rodzaju naprawy wojskowych samochodów osobowych i ciężarowych. Posiadały kilkusetosobową załogę złożoną w znacznym stopniu z robotników polskich, kierowanych jednakże przez personel niemiecki. Kadry polskiej z wyższym wy-

Dokończenie na str. 11

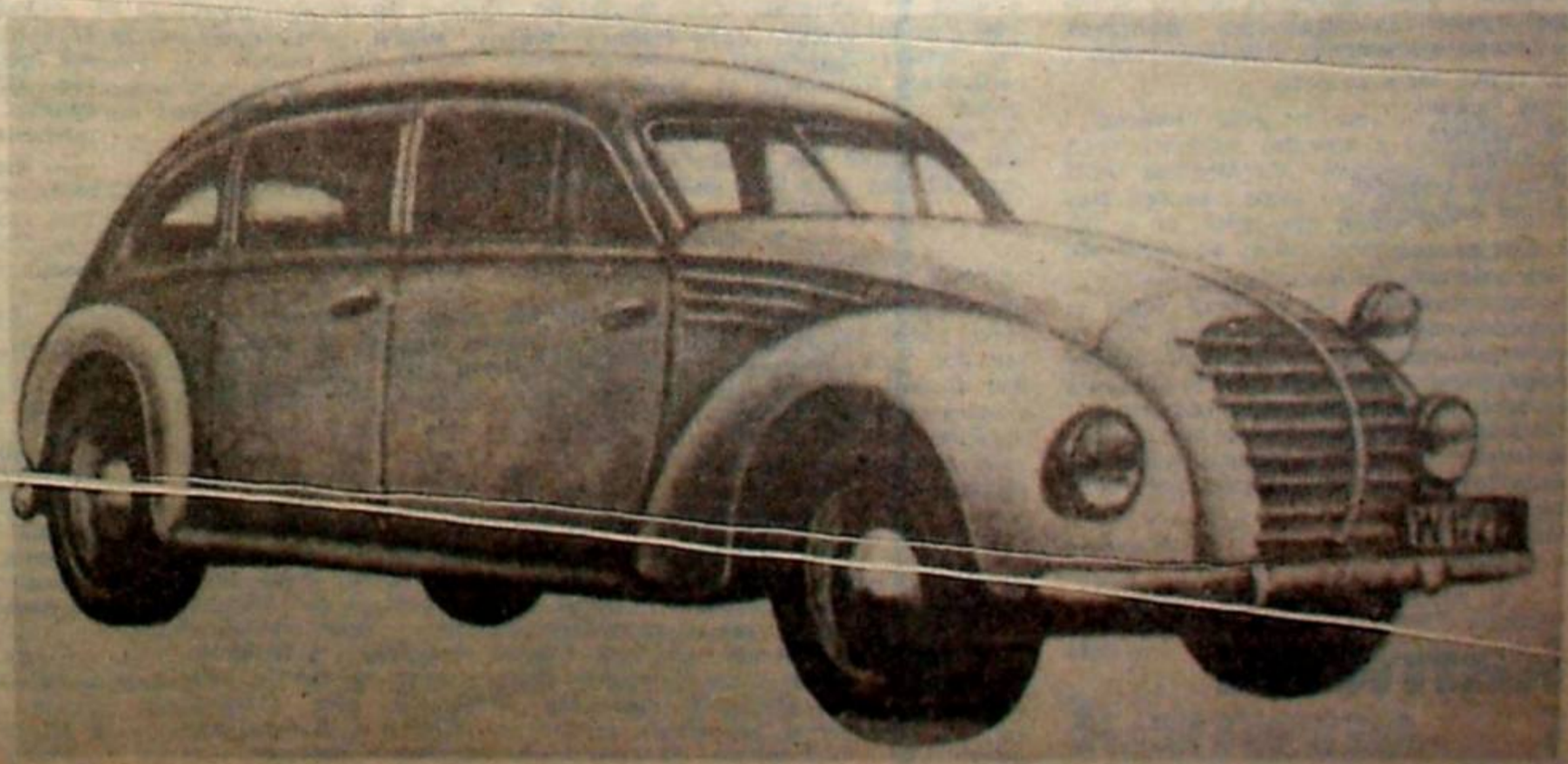

Polski Lux-Sport z 1936 roku

Stanisław Piotr Gaszyński

DON KICHOTE

spod prawa
jestem wyjęty
i spod bezprawia

gdy
wielu
filozofów powszednich
nauczyło się cwanych
chwytów i uderzeń
i unikając skutecznie
kolejek po patent
na mrzonkę jakiejś
osobistej chwili
wolności
żyją w przeświadczeniu
że sumienie można
oddać do przyklasztornej
pralni

spod prawa wyjęty
i spod bezprawia
cudak
nawet między swoimi
z podniesioną przyłbicą
nie lękam się już
niczego
— nawet
tych cholernych
wiatraków

AZYL

Matce

tutaj
światowe kłopoty
rozpływają się w radości matki
ledwie przekroczę próg

tutaj
drobne życie z drobnych spraw
ukrywa mnie doskonale
przed wielkim światem
wielkich błaznów

tutaj
w żółtych deszczowych porankach
w wieczornym szaleństwie maciejki
nie dopadnie mnie
żaden ból istnienia
ani zły człowiek
ani zły pies
ani nawet
wierzyciel

CI KTÓRZY

ci którzy szepczą za naszymi plecami
którzy mają czyste ręce
świeżo wyprane koszule sumień
którzy stoją poza wszelkim
podejrzeniem za którymi prawo murem
którzy rozdrapują bezkarnie nasze
nieśmiertelne rany
ci — umrą samotnie
w swoich
willach
z basenem

w tym sezonie
karnawału nie będzie
twarze moich wierszy
pozostaną bez masek
nie sypnę wam w oczy
orgią świateł
nie zaproszę
na jarmark
do cyrku operetki
ani na antypody

w tym sezonie
moje wiersze
zejdą z wyżyn
odpoczną w trawie
szare jak myszy
skryją się przed zimą
w cieple domowych pieleszy
i cichutko wślizgną
do łóżek
by podgryzać serca
jak myszy
najlepszy ser
w spiżarni

POWRÓT DZIEDZICA

czyli o odmienności świata

Wiesław Horabik

W KUCHNI Hanka przesuwała z hałasem garnki, a mały Antek packą z gazety rozklepywał na ścianie pierwsze wiosenne muchy. Janek siedział za stołem i grzebał w szufladzie z rupieciami.

— A ojciec dokąd? — zapytał, widząc, jak stary Batyra wolno dopina świąteczne portki.

— Na wieś — odburknął zagadnięty.

— Ale chyba nie na odpust?

— Dziedzic przyjechał — mruknął stary.

— A! — machnął ręką Janek. — Tylko się tam nie popłaczta.

— Co ty tam wisz — powiedział stary Maciej i wyszedł przed dom.

— Mamo, czy dziedzic to ważniejszy niż sołtys? — zapytał Hankę Antek.

Chałupę mieli dużą, z cegieł, piętrową. Na piętro to nawet rzadko kto zaglądał. Mieszkali po staremu, w wysokiej piwniczce, której okna tak prawie były wysoko, jak parterowe w niejednym miejskim domu. Z początku stary burczał, że po co im taki pałac i że poszło tyle grosza, ale w końcu uwierzył, że tak trzeba. Niech ludziska wiedzą, kto to są Batyrowie. Kafelki mieli w łazience i ciepłą wodę.

Stary, jak to stary, żałował trochę dawnych dni. Męczył go hałas samochodów przebiegających cały dzień przez wieś, niecierpliwość młodych, ciągle gdzieś biegnących i szukających nowego. Tęsknił do dawnych opłotków, łagodnego światła naftowej lampy, wszystkich tych zapachów, które gdzieś wyparowały, zastąpione miejskim zaduchem, a nade wszystko do starego, drewnianego domu, z pociemniałymi belkami i słomianą czapą na wierzchu. Stary Maciej tak się zatęsknił, że nawet ferment lat osiemdziesiątych nie bardzo go poruszył. „Niech tam młodzi się spierają" — mówił do siebie. I patrzył z boku.

Ale dziedzic to co innego. Dzisiaj Batyra musiał zajrzeć do Kozłów, choćby na krótką chwilę...

*

Pan Godlewski zbierał się do kraju długo. Najpierw bał się, że go wywiozą i urządzał się na obczyźnie; potem, że go nie wypuszczą, jak już raz tu zjedzie; a na koniec wmawiał sobie, że to jeszcze nie czas. Dopiero, kiedy w 74-tym zmarła mu nagle żona, a chłopak wyfrunął w świat, odczekał jeszcze te parę lat, zebrał uciułane grosze, pojechał do ambasady i na marzec wykupił bilet.

W Anglii nie zadomowił się na dobre nigdy. Wszystko było tam obce i odmienne. Słabo znał język, musiał ciężko pracować jako podrzędny kancelista w budowlanej firmie Barret and Wright. Nie odżywał nawet wśród rodaków, wciąż skłóconych i podzielonych, wartościujących świat wedle tego, gdzie gotuje się pierogi, a gdzie nie.

Z początku nie planował sobie odwiedzin w W. Chciał zobaczyć Warszawę, Kraków i Gdańsk, odwiedzić krewnych w Lublinie i przekonać się samemu, jak to w tej nowej Polsce się żyje. Dopiero tamta noc, spędzona u Krystyny na Wieniawskiej, bezsenna i pełna dziwnych pokus, obudziła w nim to pragnienie. Wsiadł w pociąg do Rozwadowa, a potem w autobus do W.

*

Do Kozłów przybiegł mały Michał i dał znać, że jakiś obcy chodzi po szkole i że o nich wypytywał. Stary Klimek, woźny, mówił, że to dawny dziedzic.

— Niech idzie na plebanię — powiedział Stefan. — Nic tu po nim

Ale stary Kozioł mruczał:

— Daj spokój, Stefek. Może on tu i zemrzeć zjechał.

— To lećta lepiej po Mirka Osuchów. Ten będzie w niego patrzał jak w obraz. Tak chciał Polskę zmieniać.

Kozłowa tymczasem już niosła z komody biały szorstki obrus, więc i Stefan sięgnął do kredensu po flaszkę, żeby jednak była pod ręką. Nabrał ochoty, aby się napić przy sobocie, choćby z dziedzicem. Nic mu do niego.

*

Topole, które obrastały niegdyś dworską aleję, były wycięte. Na budynku czerwieniła się tablica z białym orłem, a ze środka dochodził gwar dziecięcych głosów. „Taka bogata wieś, a nie zdobyła się jeszcze na prawdziwą szkołę" — pomyślał. Zauważył od razu, jak bardzo wszystko się zmieniło. Szedł ulicą ostrożnie, czując ucisk w gardle. Kilku starszych mężczyzn stojących pod sklepem GS-u popatrzyło za nim w milczeniu. Nie rozpoznał nikogo. Stał teraz przed swoim dawnym domem, z którego tak samo jak wtedy odpadał tynk, i zmuszał się do wzruszenia. Nie chciało jednak nadejść. Wciągnął tylko w płuca zapach wiosennej ziemi i popatrywał w blade słońce. „To przyjdzie potem" — myślał. Gdzieś w podświadomości zachowywał tylko tę niespokojną noc, gdy ładując w pośpiechu manatki na skrzypiący, chłopski wóz, umykał wraz z rodziną chyłkiem przed groźnym jutrem. To wspomnienie piekło go nieustannym wstydem. Nie wierzył tym z lasu, że go obronią.

*

U Kozłów zebrało się ich z dziesięciu. Przyszły także dwie baby. Reszta wsi żyła własnym sobotnim życiem. Szorowano w łazienkach spracowane ręce, kobiety kończyły pranie, a dzieciaki obsiadły telewizory. W paru innych domach mężczyźni napoczęli gorzałkę. Autobusy z miasta przyjeżdżały już i odjeżdżały puste. Z Godlewskim przyszedł nauczyciel. Michał i Agata zerkali zza drzwi ciekawie na wysokiego, szczupłego starca. Mimo swoich siedemdziesięciu lat dawny dziedzic zachował czerstwość postawy i energię ruchów. Częstował papierosami z czerwonego, twardego pudełka. Siwy dym pachniał mocno w całym domu, a chłopi pokasływali. Wódkę zagryzali kiełbasą, mocno pachnącą czosnkiem.

— To już tyle lat — powtórzył Godlewski po raz kolejny.

— Ano — odpowiedział stary Kozioł.

— I co, bardzo się zmieniło? — zapytał Stefan, a Antek Osuch wtrącił:

— Nich pan lepiej opowie, jak się żyje tam. Opowiedział.

Słuchali go potakując.

— To wam też nie było po dziedzicku — skomentował Antek.

Stefan coraz bardziej się wiercił. Oglądał się za czapką, bo wieczory były jeszcze chłodne. Nie w smak mu było takie picie bez porządnej pogawędki. Nikomu nie szły jakoś wspominki. Tylko stary Kozioł opowiadał: „Tamtą bułankę to spotkałem potem u Marciniaka w Tarnobrzegu..." Potem rozmowa wciąż wracała do bolączek codziennego życia. Patrząc teraz na twarde chłopskie twarze, Godlewski coraz bardziej uświadamiał sobie zaprzeszłość tamtego świata sprzed półwiecza. „Taki Kozioł — myślał. — Woził mnie bryczką. I cóż z tego? Obaj byliśmy wtedy młodzi i świat był inny. Jutro jeszcze przejdę się po polach. Oni żyją już na swoim i ja na swoim. Tam". Pytali go o rodzinę i wspominali jego pierwsze kryształowe radio, które budziło niegdyś sensację. Potem starzy powiedzieli mu, kto umarł, a kto przeniósł się do miasta i wyjechał ze wsi. Stara Walentowa uparła się pocałować go w rękę. Mijały godziny, a on miał tylko dziwne wrażenie, jak gdyby już raz, kiedyś, w przeszłości, odbywał z nimi taką rozmowę. Pozostawało w nim także zdziwienie, że wszyscy wokół mówią po polsku; zdziwienie, które nie chciało go opuścić od pierwszej chwili po przylocie. Starzy mówili teraz o częściach do ciągnika, a Antek Osuch zaczął wydziwiać na świat.

Przed jedenastą Godlewski zaczął się żegnać. Życzył im powodzenia. Dłużej przytrzymał w swojej ręce dłoń starego Kozła. Szedł spać na plebanię. Młody ksiądz był ciekaw wieści z dalekiego świata. Kiedy Godlewski wyszedł, stary Batyra powiedział do Kozła:

— Elegancki jak przedtem, tylko mocno skapcaniał.

— Każden ma swoje kłopoty — odpowiedział Kozioł.

W domu pozostał słodki zapach amerykańskiego tytoniu.

*

W niedzielę jeszcze trochę rozprawiano o wizycie Godlewskiego, a niektórzy się przy tym uśmiechali. W kościele obejrzała go cała wieś. Nie było jednak oddzielnej ławki przy ołtarzu. Wieczorem autobus zabrał dziedzica do Tarnobrzega.

Poniedziałek niósł na wieś od rana ciężką, twardą robotę.

Kiedy w jakiś czas potem próbowali mi ludzie opowiedzieć tę wizytę, mimo wysiłków nie bardzo się już jej i potrafili doszukać w pamięci. Ot, był u Kozłów i pojechał jakiś gość z zagranicy.

Tylko Maciej Batyra pamiętał.

ANNA KAMIEŃSKA

ANNA Kamieńska nie żyje i to mi się nie zgadza. Jak bowiem mam przystać na nieodwołalną nieobecność kogoś wpisanego w mój życiorys, i to w jego części najważniejszej, bo młodej? To pomyliła się sama rzeczywistość. Tu trzeba nie zgodzić się z samą rzeczywistością. Jak Voltaire, który protestował przeciw trzęsieniu ziemi w Lizbonie.

Prawda, Kamieńska przez ostatnie czterdzieści lat nie mieszkała w Lublinie. Ale jej w tym mieście nieobecność nieustannie była „tymczasowa". Wciąż byłem zdania, że „naprawdę" ci wszyscy, kiedyś tak ze sobą zżyci, Pleśniarowicz, Sikirycki, Kałużyński, Hartwiżanka, Kamieńska (troje z nich już nie żyje), znowu się znajdą tutaj, wśród „swoich" spraw, w „swoim" gronie, a te wszystkie Łodzie, Warszawy i Rzeszowy to tylko fragmentaryczne, choć paradoksalnością losu przedłużone epizody.

Jak to było? Tak, że po wyzwoleniu w Lublinie znajdowała się (nie znalazła, to byli autochtoni) grupka już wymienionych młodych piszących. W sytuacji dość szczególnej, bo mimo niemal automatycznego zintegrowania się wówczas ludzi pióra, dość wyizolowanej. Dla literatów przybyłych z dywizją kościuszkowską byliśmy „formalistami", „parnasistami", czy wprost „eksapistami", skoro sami podejmowali przede wszystkim tematykę społeczną i patriotyczną, dla nas oni byli schematystami, nie odgraniczającymi kwestii ściśle literackich od propagandowej funkcji poezji. Lubelskich literatów starszego pokolenia — mimo że do nich należało pierwszeństwo jako wcześniejszych gospodarzy placu — uważaliśmy za anachronizm, obcy stylistycznym nowościom ostatnich lat przedwojennych i aktualnym siłą rzeczy także zaraz po wojnie.

Tak więc grupka młodych, mimo tutejszego pochodzenia, stanowiła jakby diasporę, rządzącą się swoimi prawami i nastawioną na zdobycie własnej pozycji w ówczesnym życiu literackim. Jak tę pozycję można było zdobyć? Drukiem. A więc zyskanie możności publikowania, tj. stałego miejsca w którymś z lubelskich organów prasowych, było celem atakowanym przez nas, i właśnie Kamieńska pod tym względem zaliczała się do najaktywniejszych.

Osobliwy, dziś nie spotkany klimat takiej „filareckiej" grupki. Pożyczaliśmy sobie książki, wymieniali napisane wiersze, spieraliśmy się o przyszłość ludzkości. I trwała nieustanna licytacja na orientację, na wnoszenie nowych elementów świadomości. Sensacyjki wydawnicze i czasopiśmiennicze, nowe nazwiska w wierszopisarstwie, śmiesznostki w dykcji Juliusza Kleinera (trochę seplenił, co nie obniżało powagi profesora, o Irzykowskim mówiło się to bez skrępowania, a nawet Boy — nie do wiary, ale tak przekazuje świadectwo słuchaczy — wiele tracił na spotkaniach z audytorium przez piskliwość swojej wymowy) — to było „w kursie" rozmów. A nawet (Kamieńska studiowała filologię klasyczną na KUL) prawidła akcentowania enklityk w języku greckim i litera digamma występująca w epoce już nie klasycznej, ale archaicznej, do której dochodziło się na wykładach z historii tego języka, co było nie bardzo potrzebne już dla adeptów filologii, a co mówić o wolontariuszach wkuwających grekę tylko dla wzbogacenia orientacji humanistycznej. Kamieńska była w tym zajadła. Lubiła o ten jeden kroczek, o jedno przerzucenie kartki przewyższyć wiadomości swojego kolegi nawet w dziedzinie jego profesji, czyli zainteresowania.

Nic ne wyszło ze starań o zyskanie dodatku literackiego w lubelskim dzienniku („Życie Lubelskie"), nic też z zamiaru prowadzenia stałego felietonu w gazecie. Tytuł miał być „Zły to ptak" z nawiązaniem do dalszej części przysłowia: „który własne gniazdo kala", jako że Kamieńska, bardzo uczulona na zaściankowość, pragnęła piętnować wszystko, co takiego w Lublinie się pojawiało. Ale to był drugi niefortunny związek z dziennikarstwem dla Kamieńskiej. Pierwszy zdarzył się wtedy, kiedy sama do redakcji została przyjęta. Bywa. Naczelny redaktor „Gazety Lubelskiej", Witold Giełżyński, uznawał właściwie już wtedy nieaktualny kanon prasy, według którego dziennik miał podawać przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, informacje, i to informacje przydatne praktycznie (po ile dziś jaja na targu), więc Kamieńska, preferując tematy światopoglądowe i kulturalne, była ciągle pod złym redaktora spojrzeniem.

Wyzwolił ją z tego wyjazd do Warszawy. Kamieńska zyskała, Lublin stracił. (Kiedy mówiło się o ilościowym w Lublinie niedostatku twórczego środowiska, powtarzałem: oddajcie nam naszych emigrantów — tu można sypnąć pilkiem znanych nazwisk — a zobaczymy, kto Kopciuszek). Pełniła funkcję kierownika działu poezji w „Nowej Kulturze". Widocznie lepiej niż informatorki o tanich zelówkach w „Gazecie Lubelskiej", bo dłużej. Nie liczyłem dokładnie, ale coś koło piętnastu lat.

Fot. Józef Zięba

Nie zapomniała jednak o swoim mieście. Przyjeżdżała tu na spotkania autorskie, na wydarzenia ważne dla Lubelskiego Oddziału ZLP, a także jej książka „Jeden z grzechów pięknych", zawierająca felietony krytyczno-literackie na temat poezji, wyszła w Lublinie.

Zmarła 10 maja 1986 roku w Warszawie i tam została pochowana na cmentarzu powązkowskim. Mimo że najważniejszy i udokumentowany twórczością okres jej życia przypadł na stolicę, odejście Anny Kamieńskiej z tego świata zaliczyć trzeba i do strat kultury lubelskiej. Nieraz w rozmowach i opracowaniach monograficznych jej nazwisko się tutaj pojawi. Tak będzie w naszym i swoim mieście obecna.

Zygmunt Mikulski

Krytyk - zwierzę pociągowe

Lidia Wójcik

„RECENZENT teatralny posiada zazwyczaj pewną niewielką pozycję społeczną i towarzyską wynikającą z jego zawodu. We wszystkie dni uroczyste otrzymuje zaproszenie do pierwszych rzędów krzeseł. Jest gościnnie witany za kulisami. Urzędnicy teatru kłaniają mu się pierwsi. Publiczność pokazuje go palcem jako jednego z notablów. Tę niewielką pozycję daje mu środowisko teatralne". Tak w roku 1937 w swoich rozważaniach o pełnomocnictwach recenzenta pisał Jerzy Stempowski.

Kim jest recenzent teatralny dzisiaj? Myślę o tym nader często, któż zresztą nie lubi myśleć o sobie. Nie bez smutku wypadnie stwierdzić, że dzisiejszy recenzent wprawdzie dostaje miejsca w którymś tam rzędzie krzeseł i bywa witany za kulisami, jeśli, rzecz jasna, pisuje życzliwie, ale, ogólnie ujmując, jego pozycja społeczna wydaje się daleko niższa niż w czasach, których dotyczą słowa Stempowskiego. Ale też i w owych czasach sprawozdania z teatru przyrządzali nie tylko etatowi żurnaliści, lecz bardzo często poeci, jak Lechoń, Słonimski, Wierzyński... Zresztą jeszcze i w pierwszych latach po drugiej wojnie recenzje teatralne zamieszczali w prasie wybitni uczeni, profesorowie uniwersytetów: Juliusz Kleiner, Wacław Borowy. Dzisiaj o teatrze pisze prawie każdy, kto chce. Poza tym każdy, kto nie potrafi pisać o niczym innym. Właściwie nikt nie domaga się od recenzenta teatralnego odpowiednich kwalifikacji, czy przynajmniej ogólnego rozeznania w przedmiocie (dotyczy to głównie prasy codziennej, choć nie tylko). Wystarczy jedynie, by owe piśmiennictwo było zgodne z aktualnym kursem polityki kulturalnej.

I może to rzeczywiście jest najważniejsze, bo recenzja teatralna nie ma w gruncie rzeczy wpływu na cokolwiek w życiu teatru i nie obchodzi prawie nikogo. Prawie. Bo zdarza się, że jednorazowo ucieszy albo zezłości reżysera czy dyrektora teatru. Choć ci ostatni najczęściej z góry [illegible] wiedzą, skąd można [illegible] spodziewać się pochwał, a skąd „niesprawiedliwej" krytyki. Nie jest przecie tajemnicą, że zwłaszcza teatry terenowe miewają w miejscowych gazetach (a niekiedy i w pozamiejscowych, choć zdecydowanie rzadziej) recenzentów „zaprzyjaźnionych". Ale, niestety, istnieją przecie i tacy, których nie sposób oswoić, a jednak mają czelność pisać o teatrze, czyli, krótko mówiąc, są — jak twierdzą ludzie teatru — złośliwi i niesprawiedliwi.

Więcej nawet: nikt nie pojmuje, z czego wynika owa złośliwość i nieżyczliwość recenzentów. Bo twórcom teatralnym, rzecz jasna, nie przychodzi wcale do głowy, że może to mieć związek z jakością czy dokładniej mówiąc: bylejakością teatralnych tworów. Zresztą podejrzewam, że nikt dzisiaj nawet nie dochodzi przyczyn „grymasów" teatralnych recenzentów, choć jeszcze 40 lat temu robili to wybitni dyrektorzy dużych teatrów. Jesienią 1946 roku Arnold Szyfman w liście do Jana Szczawieja pisał: „Miło mi, że Pan nie postąpił tak jak niektórzy przedwojenni krytycy, że dostawszy niewygodne lub dalekie krzesło na premierę — „rżnęli" za to sztukę i przedstawienie". I dalej Szyfman tłumaczy szczegółowo przyczyny owego nietaktu wobec recenzenta: „Z polecenia wysokich i najwyższych władz lista tegoroczna zapraszanych premierowych gości została powiększona o wszystkich wiceministrów z żonami, co zajęło nam z ministrami i innymi dygnitarzami równe siedem rzędów krzeseł. [...] Wobec tego prasa siedziała dopiero w rzędzie 10 i 11-tym i na to nie ma żadnej rady..."

Sprawa miejsca zajmowanego na widowni teatralnej była chyba wówczas jednym z istotniejszych problemów na linii: teatr — recenzent, bo oto inny list, z 1949 roku. Jan Alfred Szczepański do dyrektora [illegible] Szyfmana: „W załączeniu zwracam przesłane mi zaproszenie na dzisiejsze przedstawienie w Teatrze Kameralnym, ponieważ moje obowiązki recenzenta „Trybuny Ludu" wymagają miejsc położonych bliżej sceny"*. Wypada zatem podziwiać dzisiejszych recenzentów, którzy, dostawszy miejsce jakiekolwiek, piszą sprawozdania z przedstawień. Ale, jak już się rzekło, te sprawozdania im bardziej sensowne, im mądrzejszą opinię wypowiadają o przedstawieniu, o samej sztuce, czy w ogóle o teatrze, tym mniej bywają doceniane, tym mniej wydają się znaczyć. Aktorzy na ogół czytują recenzje od końca, gdzie mogą znajdować się przeznaczone dla nich ewentualne pochwały. Nie miewa recenzja żadnego znaczenia dla odbioru sztuki. Nie kształtuje reakcji publiczności; może i dobrze, że tak jest. Wedle jednej z myśli nieuczesanych Leca — „Dzieło mówi samo za siebie, jeśli ma do kogo".

Tymon Terlecki w referacie wygłoszonym na słynnym zjeździe ZASP w roku 1936 powiada: „Tylko krytyk związany z teatrem potrafi związać z nim widza"**. Niemało jest, oczywiście, dzisiaj krytyków i recenzentów „związanych" z teatrem, tyle że owe związki służą zgoła innym celem. Na pewno nie mieści się w nich sprawa widza teatralnego. Od tego są przecie organizacje widowni. Związki dzisiejszego recenzenta z teatrem bywają niekiedy rozmaite i złożone, zadziwiające swą wielością i różnorodnością; od pisania recenzji, poprzez robienie adaptacji tekstów, układanie jakichś „montaży", pisanie tekstów do programu teatralnego, aż po pisanie recenzji, czyli oceny poniekąd własnych poczynań. Ocena taka w rzeczy samej nie może być dla teatru nieprzychylna. Któż lubi źle oceniać siebie?

Z czego to wszystko wynika? Niewątpliwie teatry nie można powiedzieć, że boją się, ale na pewno nie lubią „nieżyczliwych" recenzentów, choć ich pisanie tak niewiele znaczy. Jednak nie lubią. Wiele zaś teatrów okazuje szczęśliwe samozadowolenie, jeśli w jakikolwiek sposób udaje się nabyć stałą, nienaruszalną przychylność stworzenia zwanego krytykiem.

Ludwik Hieronim Morstin w „Moich przygodach teatralnych" opowiada: kiedy Zelwerowicz wystawił którąś z jego sztuk, przedstawienie zostało sponiewierane przez krytykę (oczywiście, przedwojenną). Zelwerowicz uradowany powiada do autora sztuki: — Panie, leją nas w prasie. — To chyba źle — przeraził się Morstin. Na to Zelwerowicz: — Ależ skąd, publiczność się zainteresuje. Będzie ruch w interesie. Bardzo to lubię. Zelwerowicz był, oczywiście, artystą. Czy dzisiaj jakiś teatr stać na zadowolenie z ostrego osądu jego poczynań, jeśli, rzecz jasna, jest to osąd sensowny i uzasadniony.

Na krytykę teatralną narzeka się stale i systematycznie. Ilekroć powracają miauczenia o kryzysie teatru, zawsze w pierwszym szeregu winowajców sytuuje się brak współczesnej dramaturgii i naturalnie krytykę teatralną. Jej brak, albo nadmiar, albo niezdolność, wszystko jedno. Czytuję w prasie wywiady z reżyserami, dyrektorami teatrów, którzy jeśli mówią o trudnościach i kłopotach swoich scen, winnych tego stanu rzeczy upatrują jedynie pośród urzędników od kultury i krytyków, narzekając na stronniczość i niekompetencje tych ostatnich.

Znajomy mój, reżyser, od kilku sezonów dyrektor jednego z lepszych teatrów terenowych, powtarza stale taki żart, cytując, zdaje się, Axera: nie chodzi o to, żeby nie pisali źle o mnie, ale żeby nie pisali dobrze o innych. A przy tym w niedużym mieście robi dobry teatr, krytyka nie jest w stanie mu w tym przeszkodzić. Niezbyt wielu jest jednak teatralnych dyrektorów czy reżyserów, którzy potrafią konsekwentnie i wytrwale realizować swój program, a przyczyn artystycznych niespełnień i upadków umieją szukać w sobie samych, nie rozkładając ich na krytykę.

---

* cyt. za: „Dialog", 1985, nr 11.
** cyt. za: „Scena Polska", wrzesień 1936 r.

— 7 —

Noc przed bojem

Feliks Kępa

OBEJMUJĄC część odcinka frontu bronionego w rejonie Monte Freddo przez Pułk Ułanów Karpackich, nasze Zgrupowanie Commando otrzymało, decyzją dowódcy 3 Dywizji Strzelców Karpackich, kryptonim „Bławaty".

2 Kompania „Commando" zluzowała w Villa Virginia przydzieloną do Pułku Ułanów Karpackich 3 Kompanię 5 Baonu Strzelców Karpackich, której dotychczasowe stanowiska bojowe objął 2 pluton podchor. Adama Hodura (32 ludzi) oraz 3 pluton wachmistrza Hieronima Gruszczyńskiego (32 ludzi); bojowy poczet dowódcy kompanii stanął w samej Villa Virginia (9 ludzi z dowódcą i z-cą dowódcy kompanii). Natomiast 1 pluton ppor. Tadeusza Zontka (32 ludzi) został wydzielony i odszedł na kierunek Numany, do obrony mostu, wciąż utrzymywanego przez ułanów, dość odległego od pozycji Villa Virginia.

Cofnijmy się o kilka dni, do 3 lipca 1944 r., czasu bitwy loretańskiej, kiedy to do Pułku Ułanów Karpackich została przydzielona i podporządkowana rozkazom jego dowódcy 3 kompania 5 Baonu Strzelców Karpackich pod dowództwem por. Adama Puzonia. Kompania, którą w nieodległej przeszłości ja sam przez wiele miesięcy dowodziłem.

Owczesny zastępca por. Puzonia, ppor. Marian Łoziński, w swojej książce „Przechodniu powiedz Polsce..." pisze pod datą 3 lipca 1944 r.: „Montaż natarcia 1 BSK [1 Brygady Strzelców Karpackich — M. D.] na Osimo, a 5 baonu SK na Castelfidardo. [...] Natarcie zatrzymuje się na całym odcinku. [...] Kompania [3 kompania 5 baonu — M.D] przerzucona na oś główną po drodze nr 16. Znów wydzielają nas z baonu. Mamy współpracować z Karpackim Pułkiem Ułanów, a w czasie postoju, szczególnie w nocy, ubezpieczać jego pojazdy bojowe. Dołączamy do pułku na wysokości Loreto. Silne wsparcie artylerii własnej. Niemcy odrywają się [...]. ruszamy znów do pościgu". Dalej, pod datą 5 lipca, Łoziński stwierdza: „Niemcy siedzą dookoła, wszędzie ogień Spandau'ów [...]. Wozy pancerne w nocy oderwały się; wygląda na to, że kompania jest otoczona".

Tego dnia pada zabity strzelec Włodzimierz Grodzki, ranni są strzelcy Lasota i Edward Duchnowski.

Następnego dnia: „Niemcy umocnili się w odległości 200 m od naszych — na kierunku miejscowości Freddo [w istocie było to tylko wzgórze Freddo z zabudowaniami gospodarskimi — F.K.]. Dotychczas stwierdzono 11 Spandau'ów i gniazdo M 3. Żołnierze są kompletnie wyczerpani, gdyż nie ma mowy o zorganizowaniu służby i odpoczynku. Od trzech dni wszyscy czuwają. Straty własne obecnie większe: ranni strz. Gil, strz. Pakuł, kpr. Migos, plut. Ważny i pchor. Martin".

Tegoż dnia nastąpiły dalsze straty w ludziach. W ciągu trzech dni ogólne straty 3 kompanii wyniosły 3 zabitych i 13 rannych. Pochodziły one w większości z 6 lipca — z akcji wspartej wozami pancernymi Pułku Ułanów Karpackich, prowadzonej w kierunku pomiędzy grzbiet Monte Freddo a skłon wysuniętej pozycji nieprzyjaciela, Il Coppo. (Przez cały czas naszego późniejszego pobytu na Monte Freddo sterczał na tamtym pobojowisku spalony wóz pancerny „Staghoud" karpackich ułanów oraz leżały zwłoki plutonowego Ważnego i podchorążego Martina. Aż do 18 lipca).

Il Coppo był to wysunięty niemiecki silny punkt oporu, wznoszący się 92 m nad poziom morza. Równie silnie bronione Monte Freddo wypiętrzało się znacznie wyżej (134 m) i było bardziej ku południowemu wschodowi wysunięte w stronę Villa Virginia.

Linia „Edith", tj. linia niemieckiej obrony obszaru Ankony przez oddziały 278 i część 71 Dywizji Piechoty pod dowództwem gen. Hoppe zaczynała się na wybrzeżu morskim i biegła poprzez Il Coppo, La Montagnola, S. Biagio, Monte Gallo daleko ku zachodowi. Na jej wschodnim skrzydle, od Numany do szosy nr 16 wyłącznie, rozmieściła się Grupa Peter w sile dwóch batalionów. To właśnie Grupę Peter miał za przeciwnika Karpacki Pułk Ułanów i 3 kompania 5 Baonu Strzelców Karpackich, a obecnie także Zgrupowanie Commando.

Pod datą 8 lipca Marian Łoziński zaznacza na kartach swych wspomnień: „Po pięciu dniach spędzonych w tym cholernym terenie luzuje nas wreszcie por. Felek Kępa ze swoją włoską kompanią. Ma chłopaków młodych i wypoczętych po dłuższym postoju na tyłach. W czasie przekazywania służby mdleje ze zmęczenia Ewald (Stalgis) Biliński (ppor., d-ca plutonu — F.K)".

Ten wprost beznadziejny stan fizyczny 3 kompanii, jej zmęczenie i wyczerpanie odczytywałem także z twarzy i zachowania się Adasia Puzonia podczas przekazywania mi przez niego odcinka obronnego Villa Virginia. Był przygnębiony, wydawał się przesadnie wyolbrzymiać zdobyte wiadomości o nieprzyjacielu. „Wszędzie na przedpolu Niemcy... — powtarzał — Pełno broni maszynowej... Bombardowanie odcinka przez artylerię..." Krótko mówiąc, opisywał mi tutejszą rzeczywistość w kolorach bardzo pesymistycznych. Dlatego też całkiem po przyjacielsku radziłem mu, aby ze spokojem duszy i zupełnie czystym sumieniem odszedł wraz ze swoimi ludźmi na naprawdę zasłużony odpoczynek, dla podreperowania zarówno swego ducha bojowego, jak i ducha całej kompanii. Na stan psychiczny, w jakim się Adaś znajdował, miały — poza zmęczeniem i wyczerpaniem fizycznym — bezpośredni wpływ bardzo bolesne straty, jakie jego kompania poniosła w ostatnich walkach.

Żal mi było nie tylko Adasia Puzonia, ale także — i przede wszystkim — tych poległych chłopców, tych rannych i również tych żyjących, ale przemęczonych do ostatecznych granic. Patrzyłem na ich tak dobrze znajome twarze... Wszak ci żołnierze to byli moi wychowankowie, chłopcy, których szkoliłem i przygotowywałem do walki przez pełnych dziewięć miesięcy, jeszcze w Iraku i Palestynie. Znałem dobrze przeżycia, troski i osobiste kłopoty niejednego z nich. Musiałem przecież je znać, jako ich dowódca kompanii, po tak długim okresie przebywania razem.

Dlatego po zdaniu odcinka przez porucznika Puzonia, zanim nadeszli tutaj moi obecni wojacy, pozostałe do zapadnięcia zmroku dwie godziny spędziłem na serdecznej pogawędce i na wspomnieniach z moimi byłymi żołnierzami z 3 kompanii 5 Baonu Strzelców Karpackich.

Zapadła noc z 8 na 9 lipca. Ludzie Adasia Puzonia odeszli, teraz przed nami całonocne czuwanie. Nie było czasu na rozmyślania i uleganie ponurym nastrojom. Byliśmy żołnierzami Zgrupowania Commando i musieliśmy sprostać temu statusowi.

Ale była to przecież dla kompanii pierwsza noc na stanowiskach bojowych, na bardzo realnym froncie. Wojna prawdziwa. Naprzeciw siebie, w niedalekiej odległości, mieliśmy Niemców.

Znajdowaliśmy się w bardzo niekorzystnych warunkach terenowych — w oparciu tylko o zabudowania Villa Virginia, prawie bez żadnego wglądu na dalsze przedpole, gdzie, według rozpoznania 3 kompanii, Niemcy dobrze usadowili się na wzgórzu Monte Freddo i w Il Coppo („11 Spandau'ów i gniazdo M 3!" — przypominały się dobitne słowa Adasia Puzonia). Prawie przed samym nosem mieliśmy zabudowania Casa Agostinelli — o wzniesieniu 119 m — oblepione krzakami, z rosnącymi tu i ówdzie na stoku drzewami. Obok była winnica, a po prawej stronie pole kukurydzy. Nasza Villa Virginia leżała 75 metrów nad poziomem morza. A więc Niemcy są od nas znacznie wyżej i grasujące patrole nieprzyjaciela mogą łatwo śledzić wszystkie nasze ruchy. A także wypatrywać poszczególne stanowiska obrony i razić nas swoim ogniem.

Krótka lipcowa noc mijała dość spokojnie. Poza kilkoma pociskami nękającego ognia niemieckiej artylerii z rejonu Camerano, uprzednio już dobrze wstrzelanej w rejon Villa Virginia, nie wydarzyło się dotąd nic szczególnego. Bez myśli o spaniu czy choćby jakimkolwiek odpoczynku łaziłem przez całą tę noc od stanowiska do stanowiska poszczególnych moich wojaków, nie dowierzając, przyznaję szczerze, ich włoskiej bojowości. Pocieszałem się przy tym obecnością rodaków, Polaków. Jak również Jugosłowian. A także bliskim sąsiedztwem stojącej w odwodzie w Villa Terni, zaprawionej w walce 1 Samodzielnej Kompanii Commando.

„Mucha nie siada. Nie martw się!" — powtarzałem sobie w duchu. Okazało się potem, że w podobny sposób zachowywali się i podobnie myśleli wszyscy Polacy z naszego oddziału, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji.

W końcu niebo zaczęło szarzeć, a potem lekko różowieć na wschodzie, tam, gdzie drzemała cicha płaszczyzna niewidocznego od nas Adriatyku. Ale jeszcze zanim nastąpił świt, każdy z nas dostał należne mu śniadanie.

Ani się spodziewaliśmy, że gdy słońce wzniesie się ponad wzgórza, pójdziemy w nasz pierwszy, gorący bój.

Do druku przygotował:

Mirosław Derecki

---

5 czerwca: Światowy Dzień Ochrony Środowiska

„Coście zrobili z tego świata!"

MYŚLĄ przewodnią tegorocznych obchodów Światowego Dnia Ochrony Środowiska w Polsce są problemy ochrony środowiska województw nadmorskich, a miejscem centralnych uroczystości — Koszalin.

Rozwój przemysłu, turystyki i urbanistyki w tych regionach kraju przyniósł — z jednej strony — oczywiste korzyści dla gospodarki narodowej, z drugiej zaś — poważne zagrożenie ekologiczne tych terenów oraz wód Morza Bałtyckiego. Zaniedbano przy tym i nie podjęto na czas rozbudowy i modernizacji społecznej i technicznej infrastruktury, między innymi budowy kanalizacji, oczyszczalni ścieków, wysypisk odpadów komunalnych i przemysłowych; niedostatecznie zadbano o ochronę powietrza i brzegów.

Prezentowany niedawno w telewizji program publicystyczny na temat dramatycznego deficytu wody w Świnoujściu jest jednym z wielu nie mniej drastycznych przykładów tego problemu. Pogarsza jeszcze sytuację fakt wpływających do Bałtyku zanieczyszczonych wód rzecznych z terytorium Polski oraz „dokładanie" ładunków zanieczyszczeń przez statki nie posiadające, podobnie, jak i porty, odpowiednich urządzeń i sprzętu niezbędnego do odbioru i unieszkodliwiania odpadów i ścieków. Nie mówiąc już o innym rodzaju zagrożenia, jakim są rozlewy ropy na wodach Morza Bałtyckiego czy daleko już posunięte przeobrażenia biocenozy tego akwenu, wynikające między innymi z nasilającego się latami procesu oceanizacji (zasolenia wód).

Rozwiązanie i złagodzenie części tych problemów podjęte zostało w myśl opracowanego w 1984 roku „Programu ochrony środowiska województw nadmorskich i Morza Bałtyckiego do 1990 roku". Czasu pozostało więc niewiele, a oczekiwanie na efekty — ogromne.

Wspomnieć należy, iż w ramach współpracy międzynarodowej Polska realizuje także postanowienia Konwencji Helsińskiej na rzecz ochrony środowiska Morza Bałtyckiego. Zobligowana jest więc podwójnie, poprzez wymogi umów międzynarodowych i palące potrzeby lokalne, do usuwania przyczyn zagrożenia.

Zainicjowane 14 lat temu przez ONZ obchody Światowego Dnia Ochrony Środowiska przynoszą refleksje natury ogólnej, iż odpowiedzialność za postępującą na świecie wraz z rozwojem cywilizacji degradację wód, powietrza, gleby, flory i fauny, nadmierną i niepohamowaną eksploatację zasobów przyrody, przenoszenie zanieczyszczeń na dalekie odległości, poza granice, spada na rządy i społeczeństwa krajów świata. I od nich też zależeć będzie, czy ocalone zostanie środowisko naturalne człowieka dla obecnych i przyszłych pokoleń.

Z okazji Światowego Dnia Ochrony Środowiska 19 maja odbyła się w Ministerstwie Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych w Warszawie konferencja prasowa. Z dziennikarzami zagranicznymi i krajowymi spotkał się minister Stefan Jarzębski.

W dyskusji, prócz gorącego tematu chwili, a więc awarii czernobylskiej elektrowni atomowej, wynikających stąd zagrożeń oraz powziętych przeciwdziałań, wyłoniła się grupa zagadnień dotyczących między innymi gospodarki wodnej, zmniejszenia emisji pyłów i zagospodarowania odpadów komunalnych i przemysłowych.

Podniesiony został więc problem ogólnego zaopatrzenia w wodę, planowanych na najbliższy czas i lata inwestycji hydrotechnicznych, a także problem ratowania Wisły, szczególnie w górnym jej odcinku, o wysokim stopniu zasolenia przez wody kopalniane. W odpowiedzialnych za ten stan rzeczy resortach dyskutowane są koncepcje zapobiegające lub minimalizujące to ostatnie zagrożenie. Między innymi przez zastosowanie metod hydrotechnicznych (retencja i rozcieńczenie zasolonych wód), utylizacyjnych (odparowanie soli) lub sposobu odprowadzenia zasolonych wód kopalnianych poza newralgiczny odcinek Wisły.

Uczestników konferencji zaintrygował projekt przewidujący zmagazynowanie gdzieś w odpowiednim terenie i warunkach wód słonych. Inaczej mówiąc, utworzenie „martwego morza". Ale — gdzie? Odpowiedź wymaga jeszcze czasu.

Ciekawa natomiast, i na czasie, jest koncepcja, by w rejonach deficytu wody (nie tylko w województwie krakowskim i na Śląsku, żeby nie wspomnieć województwa lubelskiego) odzyskiwać wody dla celów przemysłowych z komunalnych i przemysłowych ścieków.

„Wisła będzie oczyszczona" — to stwierdzenie min. Jarzębskiego podkreślone zostało w dziennikarskich notesach podwójną linią, jak również zaostrzenie rygorów i sankcji wobec „trucicieli" wód, gleby i powietrza. Nie może się nikomu opłacać zanieczyszczanie środowiska. Otóż to. Także i w naszym regionie.

Jak zmniejszyć emisję pyłów i zagospodarować odpady przemysłowe? Było to następne, interesujące dziennikarzy, a spędzające sen z oczu ministerstwu i resortom, zagadnienie. Jakże dotkliwe dla społeczeństwa, warunków jego życia i zdrowia. Nie mówiąc już o ekonomicznych, a także i międzynarodowych aspektach.

W krajowym programie ochrony środowiska do 1990 roku i lata następne XXI wieku przyjęta została koncepcja przełamania barier technicznych w dziedzinie odsiarczania paliw i spalin oraz głębszego wzbogacenia węgla z odpirytowaniem.

Wybudowane zostaną w pełnej skali przemysłowej pilotowe rozwiązania w tym zakresie. Na razie dotyczyć to będzie elektrowni Połaniec, elektrociepłowni Gliwice, Jaworzno II, kopalni Siersza. Przewiduje się także budowę szeregu instalacji na mniejszą skalę, w lokalnych kotłowniach.

Przytoczone przykłady, rzecz jasna, nie wyczerpują problematyki ekologicznej zawartej w kompleksowych programach poszczególnych województw. Dyrektywą przewodnią w ich realizacji jest Uchwała IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, a dopingiem lokalne deficyty wody, zanieczyszczenie atmosfery i gleby, ubożenie i degradacja innych stref środowiska człowieka.

Wszystko to wiąże się z ogromnym wysiłkiem organizacyjnym, naukowym, badawczym, poszukiwaniami nowych zasobów, źródeł energii, kształceniem świadomości społecznej. Czas biegnie. Coraz to większe są środki, które dla spraw coraz to pilniejszych trzeba wyasygnować. Trzeba, i jeszcze raz trzeba, by następne pokolenia nie zawołały: „Coście zrobili z tego świata!"

(dey)

Zamojskim cerkiewkom na odchodnym

Marta Denys

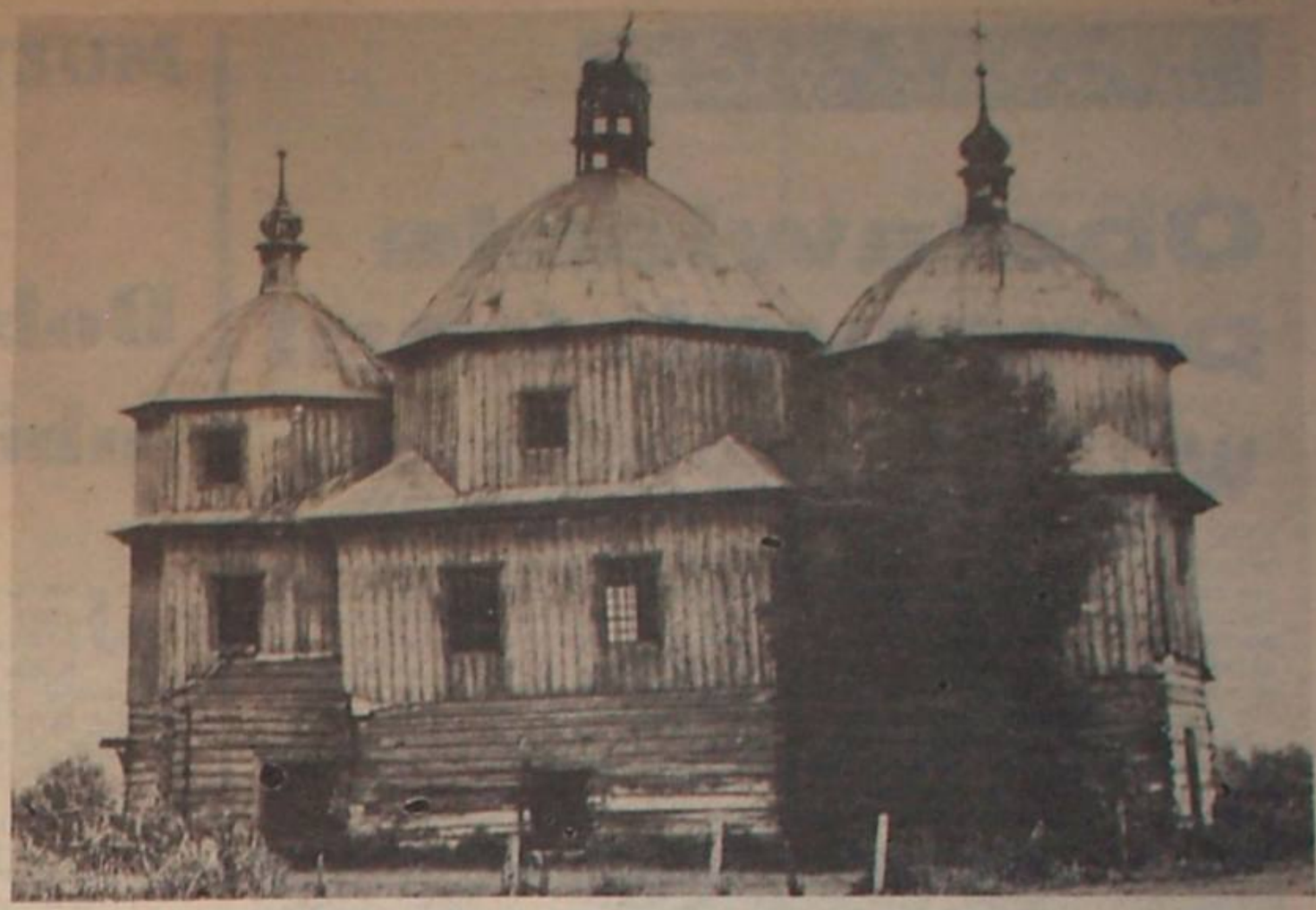

Wierzbica

OSTRA zieleń dopełza progów dłużniowskiej cerkwi. Młode listowie dostraja się do wiekowego szumu lip. I lekko, i monumentalnie zarazem rysuje się na wzgórzu dłużniowska świątynia. Największa na Zamojszczyźnie. Nie, nie ze wszystkich, ale spośród reprezentujących „rodzinę" najokazalszych drewnianych cerkiewek trzykopułowych, które się jeszcze na tym terenie ostały. Wejdźmy do środka.

Oto frontowy ganek z trójkątnym szczytem, dalej babiniec, (bo też i jak przetłumaczyć dosłownie ów „pritwor" — część dla nieczystych, grzesznych i wykluczonych; w polskiej literaturze fachowej dla tego świątynnego przedsionka przyjęto nazwę właśnie babiniec). Cerkiew w Dłużniowie jest zatem w założeniu swym trójdzielna (babiniec — nawa — prezbiterium) jak większość cerkiewek greko-katolickich.

Oto nawa. Wszystkie odcienie granatu, błękitu, chabru sprawiają, iż polichromowane w ten sposób sklepienie oddala się gdzieś, żeby nie powiedzieć — pod niebiosa. Słoneczny refleks, który wpada tu przez latarnię wieńczącą kopułę, wydobywa jeszcze jeden, nieoczekiwany efekt — szkarłatny pas ze złoconymi krzyżykami.

O, święta Praskiewo! Chyba tylko kosmonautom dane jest oglądać w naturze podobną grę kolorów?

I dla tego chociażby szczegółu może warto zawędrować kiedyś do Dłużniowa. Wieś wzmiankowana już była w 1489 roku, świątynię zaś wzniesiono — być może na miejscu poprzednich — w 1882, nie żałując jej 23,40 metrów długości. Pełni ona obecnie funkcję kościoła filialnego żniatyńskiej parafii, bogatej jeszcze w dwie podobne cerkiewki, w nieodległych Liskach i Chłopiatynie.

A skoro jesteśmy przy wyliczaniu, to idźmy dalej wschodnią granicą regionu, ku południowi, a tam spotkamy następne z dziewięciu zachowanych na Zamojszczyźnie cerkwi trzykopułowych: w Budyninie, Tarnoszynie, Wierzbicy, Hrebennym, Siedliskach (choć już tylko ruiny prezbiterium tu zostały); a bardziej ku północy — w Zubowicach.

*

Sala kominkowa w Lubelskim Domu Kultury z trudem pomieściła przybyłych 15 maja na otwarcie wystawy. Na ścianach biało-czarne fotogramy cerkwi południowo-wschodniej Polski, od Podlasia po Nowosądecczyznę. Plon fotograficznych i krajoznawczych wędrówek członków Towarzystwa Opieki nad Zabytkami i Społecznej Komisji Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej w Warszawie oraz Koła Teologów Prawosławnych Oddział w Lublinie. Wystawę firmowało także Lubelskie Towarzystwo Fotograficzne.

W tym miejscu dwa słowa należne wspomnianej Społecznej Komisji, która powstała przy warszawskim TOnZ trzy lata temu. Przewodniczy jej dr Bogdan Martyniuk — lekarz z zawodu, z zamiłowania historyk sztuki, autor wystawowych zdjęć i ciekawej prelekcji ilustrowanej przezroczami. Jednym z najbliższych przedsięwzięć komisji będzie konserwacja cerkiewnych krzyży przydrożnych i nagrobnych oraz dzwonnic i kapliczek. Komisja posiada własne konto — podaję je w przypisie — którego cząstka przeznaczona zostanie na ratowanie także i zamojskich zabytków sztuki cerkiewnej.

Oglądamy zdjęcia, dziesiątki zdjęć-dokumentów. Są wśród nich i wizerunki zamojskich cerkiewek. Jeszcze mniej znanych i publikowanych w fachowej i krajoznawczej literaturze niż beskidzkie czy bieszczadzkie, a przecież równie cennych i unikatowych w swoim rodzaju. Wyłuskuję niektóre z nich, dodając inne, pozawystawowe. Na marginesie tej ciekawej i pouczającej wystawy kreśli mi się obraz tego, co znajduje się w naszym, nieodległym przestrzenią zasięgu poznawczym.

Oto najstarsza na Zamojszczyźnie cerkiewka w Korczminie, z 1658 roku. (A najstarsza w Polsce? Wyszukuję na fotogramach — jest! Posada Rybotycka, cerkiew z XIV, no, może z początku XVI wieku, o pięknej, gotycko-obronnej jeszcze bryle. I freskach prawie nie tkniętych przemalowaniem).

Nasza zamojska starowinka w Korczminie położona jest, jak wszystkie inne, w środku wsi, okolona niegdysiejszym starodrzewem. Jest to jedna — także z dziewięciu zachowanych — cerkiewek jednokopułowych. Orientowana, trójdzielna, o konstrukcji wieńcowej, zgodnie z tradycją tego budownictwa. Dach i kopułkę pokrywa wprawdzie blacha, lecz całość chyli się ku ruinie.

Za najmłodszą cerkiewką jechać trzeba do Horodła. Tak, tego samego, w którym zawarta została słynna unia horodelska w 1413 roku. Tutaj bowiem w 1928 roku zbudowano ostatnią już drewnianą cerkiewkę na Zamojszczyźnie! Na miejscu innej, poprzednio spalonej. Jest to bezkopułowa budowla, podobna cerkiewkom w Łosińcu, Strzyżowie, Śniatyczach. Obecnie funkcjonuje jako kościół parafialny pod wezwaniem św. Józefa — cieśli z zawodu.

Za największą zaś na Zamojszczyźnie uchodzi cerkiew w Majdanie Starym, wzniesiona w 1906 roku. Jest ona inna niż większość dawnych cerkwi unickich w województwie zamojskim. Reprezentuje typ cerkwi bizantyjsko-rosyjskiej, jakie budowane były przez władze carskie po kasacie unii.

Cerkiew w Hrebennym. Wiekowa, pochodząca z 1685 roku. Jak wszystkie inne, tak i ona wyszła spod rąk bezimiennego cieśli, który niezawodnie, zgodnie z tradycją, kanonami wiary i sztuki budowlanej, ciosał bele sosnowe, by oddać szlachetność i trwałość jej kształtu. Cerkiew w Hrebennym dominuje nad wzgórzem i dawnym traktem lwowskim. Wiekowe drzewa, owe stare lipy okalają jej pociemniałą bryłę. Trójdzielna, orientowana, nakryta trzema okazałymi kopułami. Wewnątrz niekompletny ikonostas z obrazem chusty św. Weroniki. W 1958 roku kopuły i ściany pokryto nowym gontem, dwadzieścia lat później zasłoniła je świecąca blacha, być może trwalsza, tańsza i bardziej dostępna niż gont, niwecząca jednak stare piękno O, święty Mikołaju, patronie tego jednego z najcenniejszych zabytków architektury drewnianej w Polsce! Zarejestrowanego jako obiekt grupy zerowej w katalogach UNESCO...

Najmniejsza z zamojskich cerkiewek, obrócona w ruinę, rozkradziona, dożywa swojego wieku w Teniatyskach. Resztki jej kopułki i prezbiterium osłaniają stare sosny. W 1508 roku przybyli tu Wołosi. Czy budowali dla siebie świątynię, tego już nikt nie wie. Maleńka cerkiewka o długości 15,10 m wzniesiona była w 1754 roku. Sosnowe bale ronią w zakurzonej ciszy żywiczne łzy...

Swoistym nekrologiem na wystawie w sali kominkowej LDK był fotogram przedstawiający nie istniejącą już dzisiaj cerkiew w Kościaszynie z 1926 roku. W latach 60-tych użytkowana była jako magazyn przez miejscowy PGR. Wtedy jeszcze istniały wewnątrz dwa obrazy.

Do ostatniej też swojej fotografii stoi w kolejce cerkiew w Wierzbicy z 1887 roku. Odpadły już dawno temu obiegające ją cieniste cerkiewne soboty — zadaszenia. W załomie nawy i prezbiterium zieleni się jeszcze nędzna samosiejka...

W województwie zamojskim zachowały się 34 dawne drewniane cerkwie unickie, 25 z nich spełnia swą sakralną funkcję jako kościoły rzymskokatolickie, niekiedy jako świątynie obu wyznań. To pozwala trwać jeszcze tym zabytkom drewnianej architektury, aczkolwiek niedbalstwo gospodarzy i wiernych, umykające konserwatorskiemu dozorowi (nie tylko na Zamojszczyźnie), remonty i przebudowy oszpecają stylowe bryły. Dziesięć obiektów w wyniku ludzkiej działalności obróciło się lub dochodzi do stanu ruiny. Oczywiście, jest szereg innych, dających się zrozumieć powodów, które nie sprzyjają ratowaniu tych cennych, lecz czasem kłopotliwych zabytków. Dworek czy wiatrak zaoferować można prywatnemu nabywcy. Kto jednak kupi drewnianą cerkiew? Nie wszystkie znajdą schronienie w skansenach. Pozostaną w naszym krajobrazie, i od nas będzie zależało, czy przetrwają. Czy będziemy jeszcze w stanie przekazać je następnym pokoleniom jako dobro narodowej kultury? Czy zrozumiemy ich inność i zarazem tożsamość, która także i nasze dzieje kształtowała?

Za przyzwoleniem autora korzystałam z publikacji dr. Jana Góraka pt. „Dawne cerkwie drewniane w woj. zamojskim", wydanej przez Biuro Badań i Dokumentacji Zabytków w Zamościu, w 1984 roku.

Konto Społecznej Komisji Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej: NBP III Oddz. w Warszawie nr 1036-9700-189-856.

ZG TOnZ — Kom. Cerkiewna, Warszawa, ul. Łucka 1/3/5.

Zdjęcia Bogdan Martyniuk

Kościaszyn — ta cerkiew już nie istnieje

Obstawianie pewnych koni

W „SKORUMPOWANYCH" — najnowszej komedii francuskiego reżysera Clude Zidiego — stary, doświadczony i „bywały" w świecie przestępczym swojej dzielnicy inspektor René Boisrand, którego życie nauczyło patrzenia przez palce na wiele odstępstw od norm prawnych, z jakimi na pęczki spotyka się w codziennej pracy, stara się nauczyć przydanego mu do pomocy policjanta-nowicjusza Francois, że jedynie stosując zasadę „pokojowej koegzystencji" pomiędzy policją a przestępcami można zachować jaki taki ład i porządek. Co więcej: dawszy się częściowo skorumpować przez przeciwnika, można — po pierwsze — ułatwić sobie codzienną egzystencję i — po drugie — zyskać przyjaciół wśród drobnych płotek przestępczych, które pomogą — na zasadzie „sprzedaży wiązanej" — w ujawnieniu jakiejś naprawdę wielkiej afery i ujęciu jakiejś naprawdę grubej ryby.

Młody policjant nie chce zrozumieć ani zaakceptować tych prostych zasad. Jest oburzony, usiłuje składać raporty na swego pryncypała, a to powoduje cały ciąg komplikacji życiowych oraz służbowych, jako że jego przesadna służbistość zaczyna zagrażać „planowanemu procentowi wykrywalności prze-

stępstw", „współczynnikowi dziennych aresztowań" itp., wpływając fatalnie na ocenę pracy całego komisariatu. Co począć w takiej sytuacji? Przyhamować służbistę, pozwolić mu się troszkę skorumpować! Lecz skoro nie chce brać pieniędzy? Wtedy pozostaje stary, niezawodny sposób: „cherchez la femme"! No i pocisk trafia w cel. Tylko, że w wyniku tego następuje niemal całkowite odwrócenie sytuacji...

Claude Zidi jest znany jako fachman od filmowej komedii, nie tej błyskotliwej i inteligentnej, w stylu pierwszych filmów de Broki z Jean Pierre Casselem, lecz przypominającej farsę bulwarową, gdzie pełno wrzawy i zamętu, nie najwyższej klasy dowcipu i sporo starych, wyświechtanych gagów, ale gdzie stawia się przede wszystkim na jednego pierwszorzędnego „konia". Na nazwisko, które przyciągnie publiczność i za którego plecami skryje się cały niedostatek reszty przedstawienia.

W „Skorumpowanych" inspektor René jest namiętnym graczem na wyścigach kłusaków, obstawiającym kolejne, pewne — jego zdaniem — konie, ale naprawdę pewnym koniem jest w filmie Zidiego wykonawca roli inspektora — niepowtarzalny Philippe Noiret. To właśnie na niego idzie publiczność, i to głównie jemu zawdzięczają „Skorumpowani" dwa „Cezary", które w 1985 r. przyznano filmowi za scenariusz i reżyserię. Bez Noireta nie byłoby „Skorumpowanych", choćby nie wiadomo jak dobry był scenariusz czy reżyseria.

Po raz pierwszy w Polsce zetknęliśmy się z robotą (nie nadużywajmy tutaj słowa „twórczość") Zidiego w roku 1977, oglądając w krótkim odstępie czasu dwie jego komedie — „Diabli mnie biorą" oraz „Cenny depozyt". Obydwie z udziałem Pierre Richarda i pełnej uroku Jane Birkin. Fabuła filmów była głupiutka, robota reżyserska na patatajkę, ale na ekranie dostrzegało się tylko kunsz komiczny Richarda i niebotycznie długie nogi Jane Birkin. O „Cennym depozycie" pisał jeden z francuskich krytyków: „Oczywiście, nie jest to humor najwyższego lotu [...], ale są pomysły, jest rytm, są gagi, jednak już pomysł z Pierre Richardem z nogą uwięzioną w muszli klozetowej zdradza poziom humoru, który preferują panowie Fechner i Zidi". Ten urywek dałoby się zastosować w każdej recenzji z filmów Claude Zidiego, należałoby tylko podmieniać nazwiska aktorów grających czołowe role. Na przykład Jean Paula Belmondo w filmie „Dubler" (oglądaliśmy go w 1979 r.), gdzie partnerowała mu Raquel Welch.

„Skorumpowani" są chyba najlepszym z dotychczasowych filmów Zidiego. Miałka dosyć fabuła zawiera przecież spory ładunek refleksji na temat względności prawa, uczciwości, moralności. Zaskakujący jest pomysł z przeistoczeniem się policjantów w złodziei i pozostawienie tego faktu bez specjalnie umoralniająco-dydaktycznej przeciwwagi. Inna sprawa, że cukierkowo-rzewne zakończenie „Skorumpowanych" wtłacza ten film na powrót w standardowy wymiar komedii Zidiego.

M. D.

MUZYKA MŁODZIEŻOWA

Dobra kondycja jubilatów

JAK ten czas leci! Ani obejrzeliśmy się, kiedy minęło 15 lat działalności grupy Dwa Plus Jeden. Jubilaci nie czują się bynajmniej zmęczeni Wciąż tryskają energią, optymizmem i jakże przydatną muzykom inwencją. Wydany niedawno ósmy album zespołu „Video" wymownie świadczy o dobrej passie Janusza Kruka i jego współpracowników. Co ciekawsze, propozycje Dwa Plus Jeden idą z duchem czasu i nie ustępują atrakcyjnością brzmienia ofensywnym grupom młodego pokolenia rockmanów.

Obecnie trio w składzie: Elżbieta Dmoch, Janusz Kruk i Cezary Szlązak przebywa na dłuższym tournée w Kanadzie. Wyprawa za Wielką Wodę nie jest pierwszą w historii zespołu. Kontynuuje ona rozpoczętą rok temu amerykańską przygodę Dwa Plus Jeden. W USA i Kanadzie muzycy spędzili pięć miesięcy, koncertując w Nowym Jorku, Chicago i Toronto. Przy okazji obserwowali wielu asów rockowej sceny Ameryki. Obecny wyjazd do Kanady ma być połączony z nagraniami płytowymi. Wstępne rozpoznanie wykazało bowiem, iż muzyka Dwa Plus Jeden podoba się tamtejszym słuchaczom. Można więc sądzić, że dojdzie do wydania przynajmniej kilku singli z kompozycjami zespołu. Wcześniejsze dokonania fonograficzne w RFN i Japonii ograniczały się do wykonywania utworów zaproponowanych przez zachodnich twórców muzyki tanecznej.

Trzeba przyznać, że Dwa Plus Jeden przejawia dużą aktywność nagraniową. Czynnikiem sprzyjającym jest fakt posiadania przez zespół własnego studia domowego. Pozwala to na eksperymenty dźwiękowe bez obawy o tempo i czas. Wyposażenie studia w magnetofony „Teac" i „Master Tape", wzmocnione dodatkowo urządzeniami uszlachetniającymi dźwięk, umożliwia nagrywanie płyt. Zdecydowano więc, że następny, dziewiąty krążek krajowy będzie rejestrowany w domu, a w dużym studiu dołoży się tylko partie wokalne i zmiksuje całość. Nowy album Dwa Plus Jeden ma, zdaniem lidera, zawierać wystrzałowe numery, znacznie wyprzedzające modę.

Grupa nie miała nigdy kłopotów z popularnością, ani wahnięć w dół. Głównie dlatego, że trzymała się konsekwentnie melodyjnego pop-rocka, zapewniającego przychylność szerokiego kręgu odbiorców. Ten kurs zostanie przez zespół utrzymany, choć nie wszystkie piosenki przystają może do ustalonego schematu stylistycznego. Ważne, że Dwa Plus Jeden ma własne brzmienie, rozpoznawane przez fanów dzięki barwie głosu solistki.

Trzon tria, wspomaganego podczas koncertów przez wybornych instrumentalistów, tworzy małżeństwo Kruków. Zapytani, czy stosunki rodzinne ułatwiają pracę estradową, Elżbieta i Janusz odpowiadają: „Gdy rozpoczynamy pracę, zapominamy o tym, że łączą nas związki rodzinne. Inna sprawa, że sprawy zawodowe i osobiste nie dają się od siebie całkiem oddzielić. Problemy zawodowe przenosimy do domu, ale na to, niestety, nie ma rady. Pod względem muzycznym nie jesteśmy zgodną parą. Każde z nas ma inny sposób widzenia utworu i swojej w nim roli. Często żywo dyskutujemy nad linią melodyczną, przebiegiem rytmicznym, instrumentacją, nim ustalimy ostateczny kształt kompozycji. Nie ukrywamy, że dyskusje te wpływają korzystnie na naszą muzykę i brzmienie. Staramy się, aby było ono komunikatywne, cechowało się luzem i pulsacją rytmiczną. Lata wspólnej pracy (a graliśmy razem jeszcze w Warszawskich Kurantach) nauczyły nas wzajemnej tolerancji, co nie znaczy, że zawsze potrafimy sobie ustąpić. Czasem potrzebna jest interwencja tego trzeciego czyli Czarka Szlązaka".

Nieobecność zespołu w kraju nie oznacza braku propozycji muzycznych Dwa Plus Jeden na antenie radiowej. Jedna z nich robi ostatnio karierę. Specjalnie z okazji Mundialu grupa nagrała piosenkę „Orły do boju" wyrażającą optymizm wobec piłkarskich bojów naszej reprezentacji.

Istvan Grabowski

Złotówki dawnej czar...

Poczytajmy:
1 dolar amerykański = 5,31 zł,
1 funt szterling brytyjski = 25,53 zł,
100 franków francuskich = 34,99 zł,
100 dinarów jugosłowiańskich = 12,06 zł,
100 koron czechosłowackich = 22,15 zł,
100 lei rumuńskich = 5,24 zł,
100 funtów tureckich = 4,26 zł,
100 koron szwedzkich = 131,40 zł.

Taki był oficjalny kurs polskiej złotówki w końcu marca 1935 roku. Inna sprawa, że zdobycie tych złotówek nie było znów takie łatwe. W sezonie wiosennym robotnik rolny brał za dniówkę z wyżywieniem własnym 1,7 zł, a z wyżywieniem pracodawcy — 1,3 zł, zaś kobieta odpowiednio — 1,3 zł i 1 zł. W przeliczeniu więc na dolary jej dniówka wynosiła niecałe 19 centów. Znając przeludnienie przedwojennej wsi, można wnioskować, że nawet ta licha płaca była tylko dla szczęśliwców...

W tymże samym 1935 r. posterunkowy Policji Państwowej miał miesięczne uposażenie zasadnicze w kwocie 150 zł plus dodatek, zależnie od służby. Wynosił on miesięcznie w służbie zwykłej — 40 zł, a w służbie śledczej — 60 zł. Ale i posterunkowy był nędzarzem w porównaniu z takim na przykład inspektorem policji, który miesięcznie otrzymywał 700 zł plus dodatek w wysokości 350 zł bądź 440 zł!

A teraz kilka słów o długach państwowych, choć są to dane o dwa lata wcześniejsze, czyli z 1933 r. Na jednego obywatela Polski dług ów wynosił 154 zł, czyli 34,48 dolara. Każdy Włoch był wówczas zadłużony na 486 dolarów, a Anglik na... 1024 dolary.

Z przytoczonych wyżej liczb żadnych wniosków na dzień dzisiejszy nie wyciągam, poza tym, że lektura starych roczników statystycznych bywa pasjonująca!

(j)

Archiwum mistrzów anegdoty

Aleksander Dumas-syn zwrócił się pewnego razu do ojca, że zamierza poślubić baletnicę operetki, pannę Ninon.

— Z pewnością ci to przejdzie — powiedział rodzic, kiwając z politowaniem głową.

— Ja, kiedy byłem w twoim wieku i poznałem Ninon, też miałem na to diabelną ochotę.

• • •

Znany polski artysta dramatyczny i filmowy Józef Węgrzyn, pracując z pewnym reżyserem, wysłuchał z całą uwagą wielu jego uwag dotyczących kreowanej przez artystę roli i po dłuższym milczeniu powiedział:

— Oj, kochaniutki, bo zagram tak, jak pan to sobie wyobraża!

• • •

Swego czasu jeden z dziennikarzy zadał pytanie Errolowi Flynnowi:

— Czy pan nie uważa, że miłość to coś wręcz wspaniałego?

— Oczywiście — odparł słynny aktor. — Jakaś kobieta wchodzi w nasze życie i to jest wspaniałe... Potem odchodzi i to jest jeszcze wspanialsze.

• • •

Tristan Bernard — francuski dramaturg i powieściopisarz — został zapytany przez początkującego literata, jak należy się zachować na zakończenie spotkania z czytelnikami.

— Zwyczajnie — odparł pisarz. — Należy pozbierać swoje notatki, wstać, ukłonić się i wyjść z sali na palcach.

— Dlaczego na palcach?

— Nic pan nie rozumie! Żeby nikogo nie obudzić.

• • •

Mark Twain wydał za Polaka, o nazwisku Kurylowicz, jedną ze swoich córek. Gdy pisarz obchodził siedemdziesięciolecie urodzin, oświadczył, że resztę życia pragnie poświęcić pracy w ogrodzie i... nauczeniu się poprawnego wymawiania nazwiska swego zięcia.

• • •

Gabrielle Colette, powieściopisarka francuska, autorka m.in. „Klaudyny", licznym swoim adoratorom często tak odpowiadała:

— Niech mi pan pozwoli zastanowić się przez tydzień. Jeżeli powiem „tak", będzie pan bardzo zadowolony, ale jeśli powiem „nie", będzie pan mnie za to błogosławił.

Wyszperał: **Ryszard Dunin**

Kajet literacki

Koło młodych

SPOGLĄDAM na młodych poetów uganiających się po Lublinie i wydaje mi się, jak na czterdziestolatka przystało, że świat stanął w miejscu, bo przecież dwadzieścia lat temu było tak samo.

Dobrze pamiętam pierwsze swoje zebranie w Kole Młodych. Jeszcze na ulicy Granicznej pod drzwiami lokalu Związku zaczepił mnie jakiś trzydziestoletni brunet, ten od wieczorowej pory.

— Słuchaj — mówi. — Czy ty czasem nie jesteś Olczak? Zgadza się. A ja jestem Rozenfeld. Wiedziałem, że się w końcu pojawisz. Przyjdzie koza do woza, bo wóz czyli Koło do kozy nie dojedzie.

Dogadaliśmy się błyskawicznie, bo Rozenfeld mówił dużo i szybko jak kulomiot. Przy okazji okazało się, że był w Świebodzinie urzędnikiem w tych samych latach, kiedy to ja tam byłem meliorantem. Poza tym we Wrocławiu mamy wspólnych znajomych. Nie tylko zresztą dla Rozenfelda cały świat był rodziną. Potem podszedł do mnie młody radiowiec i powiedział, że znał moją żonę jeszcze jako panienkę. Po takich informacjach zadomowiłem się tam natychmiast.

Skończyły się pogaduszki kuluarowe i rozpoczęło się burzliwe zebranie. Wszyscy bezzwłocznie chcieli wydawać miesięcznik literacki i tomy własnej poezji. Chcieli to robić z dnia na dzień, z godziny na godzinę, nie licząc się z żadnymi trudnościami i oporami materii.

Nagle szef Łukowski oznajmił swoim potężnym głosem, że otwiera się możliwość współpracy z teatrem. Ostatecznie szansa ta polegała na tym, że pogadaliśmy sobie z jakimś młodym reżyserem dojeżdżającym ze stolicy, a on potem gdzieś przepadł razem z naszymi tekstami. No ale jeden z tych poetów, którzy się za tym reżyserem uganiali, został w końcu aktorem. Jak nie autorem to aktorem, dobre i to na początek. A pozostali członkowie Koła Młodych? Kim oni nie zostali! Poetami także, ale nie tylko. Teraz można spotkać ich wszędzie. W każdym bądź razie można by było utworzyć w Lublinie specjalny cech rzemiosł różnych. Wracajmy jednak do pierwszego zebrania.

Z polemistów znałem tylko Waldemara Michalskiego. Mówił najrozsądniej ze wszystkich, więc najwyraźniej liczono się z jego zdaniem. W tym czasie zresztą Waldek miał chyba największy dorobek poetycki i publicystyczny. Znałem też Tadeusza Kwiatkowskiego, ale z zebrań go nie pamiętam. Tadzio zresztą uważał słusznie, że poeta jak kot powinien chodzić własnymi drogami. Spotykaliśmy się tylko na trasie tych dróg, na różnych lubelskich skrzyżowaniach. Kwiatkowski właśnie przy okazji zapoznał mnie z Fronczkiem, a Michalski z Makarskim. Tak się odnajdywaliśmy w różnych zakamarkach Lublina. No i znowu wracajmy do przerwanego zebrania.

Łukowski jak mógł tak kierował dyskusją, która przecież powinna być konkretna choć jednocześnie musiała być burzliwa albo przynajmniej dyscyplina. Zresztą kiedy on zabierał głos, wszystko wracało do jakiej takiej normy, a my z Księżyca wracaliśmy na Ziemię. Nasz szef namęczył się tam i nauwijał nie tylko na zebraniu. Setki godzin zmarnował na samo tylko telefonowanie, wysyłanie listów, zawiadomień i konferowanie ze zwierzchnikami.

Po takim zebraniu błądziliśmy po Lublinie jak pijani i o swoich planach mówiliśmy jak o faktach dokonanych. Wstępowaliśmy czasami do „Nory", żeby przyjrzeć się pseudoklasykom czyli starszym kolegom. A plany też jakoś się realizowały cząstkowo przynajmniej. Nie było jeszcze miesięcznika młodych, ale „Kamena" wypożyczyła jedną stronę, jakieś krakowskie chyba pismo zaprezentowało wiersze poetów, a Maciej Podgórski zabierał się do pracy związanej z almanachem prozy. Nie wszystko zatem szło na marne, nie wszystkie słowa ulatywały z wiatrem. Zebranie trwało.

Janusz Olczak

My Tissot watch...

PRZEZ paręnaście ostatnich lat służył mi zegarek marki „Tissot", odziedziczony po stryju. Zaczął nawalać gdzieś tak w lutym tego roku (zegarek, bo stryj nawalił znacznie wcześniej).

Wpierw poszukałem przyjaciela, który miał znajomego zegarmistrza i polecił mu mnie oraz moją sprawę. Zegarmistrz stwierdził, że zegarek jest dosyć stary, sprężyna się zmęczyła, trzeba ją wymienić, sprężyny do takiego zegarka w Polsce się nie załatwi. Ponadto tarczę należy posrebrzyć, robią to w Warszawie, płaci się 2000 zł, czeka się półtora roku. Ale on zaraz ustali numer serii i kaliber mojego zegarka (wtedy dowiedziałem się, że i zegarki miewają kaliber), ja napiszę do fabryki TISSOT S.A. w Szwajcarii i jeśli tam posiadają taką sprężynę oraz taką tarczę, to mi przyślą, a on je zamontuje w moim „Tissocie". Na koniec podał adres fabryki w Szwajcarii i kazał mi się oddalić.

Przepełniony — co tu kryć — pesymizmem, 13 marca wysłałem list do Fabrique d'Horlogerie TISSOT S.A. z prośbą o części, podając namiary mojego zegarka. 13 kwietnia — trzynastka zawsze była dla mnie szczęśliwa — dostałem odpowiedź, że oni dziękują mi za list z 13 marca oraz informują, iż mój zegarek został wyprodukowany około 1948 roku i niestety nie posiadają już doń części, ale jeśli im go przyślę — otrzymam bezpłatnie nowy. Podpisał mr H. Schwarz.

21 kwietnia wysłałem Szwajcarom (poleconym, pocztą lotniczą, kosztem 751 zł) mojego „Tissota", płacąc cło wywozowe 1000 zł (200 proc. wartości zegarka, który został wyceniony przez rzeczoznawcę na 500 zł). 22 maja otrzymałem przesyłkę ze Szwajcarii (pocztą lotniczą), w której znajdował się nowy zegarek marki „Tissot". Widać na poczcie nikomu nie udało się go ukraść ani podmienić.

Niebawem nadeszła ze Szwajcarii cienka książeczka gwarancyjna (formatu bibułki do papierosów), w której nie poucza się, że zegarek służy do odmierzania czasu i czego nie należy z nim robić pod groźbą utraty gwarancji, ale informuje się w siedmiu językach (także i po chińsku), że gwarancja działa 12 miesięcy, a napraw z tego tytułu można dokonywać w przedstawicielstwach (les représentants) TISSOTA (podano adresy), znajdujących się w 125 krajach świata (również i w Polsce)...

Jest taka sprawa, że posiadam jeszcze krajowy zegarek marki „Błonie" (My „Błonie" watch), chwilowo nie wiem, kiedy wyprodukowany, i nie znam numeru serii oraz kalibru (ale to chyba da się ustalić?). A także posiadam małą lodówkę produkcji Zakładów Metalowych Wrocław-Zakrzew, z 1959 roku, zwaną „chłodnią szafkową", typ L-1-40 (bez numeru serii i kalibru).

Oba te dobra są zepsute („Błonie" od bardzo dawna i leży w szufladzie, lodówka od dwu lat i rodzina każe mi ją wyrzucić na śmietnik), a nikt nie chce ich zreperować. Jestem w stanie je wysłać komu trzeba. Więc oczekuję propozycji. Raczej krajowych. Mogą być i od producentów.

(Pdg)

Wróżka znaczy wiedźma

Dokończenie ze str. 12

to jeszcze nic. Trzeba obserwować ludzi. Do mnie przychodzą same kobiety, a u kobiety bardzo łatwo wyczytać z twarzy, co ją gryzie. Niby, że nielegalnie. A cóż w tym znowu nielegalnego, przyjdzie kto, jak ma kłopoty, a ja pogadam z nim, karty przełożę, staram się coś zaradzić. Jakaż to ulga dla człowieka, kiedy może drugiemu opowiedzieć coś o sobie. Komuż to dzisiaj opowiedzieć, kto chce, kto ma czas słuchać. A ja słucham, lubię ludzkie sprawy. Sama nie miałam łatwego życia. A w końcu to przecież jakby mój zawód... Każdy musi coś w życiu robić... — zamyśliła się na chwilę, promyk włosów opadł jej na pomięty policzek. — Po co ja to wszystko opowiadam, jakbym się tłumaczyła, a przecież wróżka, to w końcu nic złego.

Nieśmiałe stukanie do drzwi. Czuję, że pora już opuszczać mroczne przepaście mieszkania. Wychodzę. W ogródku przed domem chichoczą trzy nastolatki, torby z książkami porzuciły na trawie.

— Przyjmie nas pani dzisiaj?

— Idźcie, idźcie, nikogo nie przyjmuję — słyszę głos pani Bocianowskiej i zgrzytający zamek w drzwiach. Krucha, delikatna blondyneczka wyraźnie posmutniała. — To co teraz?, Idziemy na biologię czy do mnie do domu?

— Głupiaś — odezwały się dwie jej koleżanki — poczekamy. Ona zaraz na pewno otworzy, sama nas zawoła, zobaczysz.

Ewa Chodkowska

Narodziny

Dokończenie ze str. 5

kształceniem i praktyką w przemyśle samochodowym nie było (również i wśród Polaków przybyłych z Rosji, poza kilkoma, którzy jako oficerowie zatrudnieni byli w warsztatach samochodowych armii rosyjskiej).

Warsztaty przy ul. Terespolskiej zostały przejęte przez polskie władze wojskowe „na chodzie" w okresie ewakuacji wojsk niemieckich z Warszawy w końcu 1918 r., otrzymując nazwę Centralne Warsztaty Samochodowe w Warszawie (w skrócie CWS).

Wyprzedzenie państw zachodnich w odniesieniu do Polski było więc w zakresie motoryzacji olbrzymie. A jednak już w 1920 r. powstało Biuro Konstrukcyjne CWS, w 1929 r. rozpoczęło pracę Biuro Konstrukcyjne Broni Pancernych, przemianowane następnie na Biuro Badań Technicznych Broni Pancernych. Poza tym powołano w 1931 r. Biuro Studiów przy koncernie motoryzacyjnym Państwowe Zakłady Inżynierii.

Pierwszym znaczącym osiągnięciem w skali międzynarodowej było przeprowadzone wspólnie przez pracowników BBTBPanc. i działu pojazdów specjalnych BSPZInż. poważnej rekonstrukcji czołgu lekkiego 7T. W ramach tej rekonstrukcji, przy której m.in. pracował inż. Edward Habich, zastosowano w 7T produkowany w Polsce silnik wysokoprężny Saurer VBLD. Wprowadzony do produkcji w 1935 r. polski czołg 7TP był pierwszym na świecie czołgiem produkcyjnym napędzanym silnikiem wysokoprężnym. Polskimi śladami poszedł m. in. przemysł radziecki, stosując w swoich czołgach od 1940 r. również silniki wysokoprężne.

Drugim osiągnięciem były niespotykane wówczas, nadzwyczaj dobre właściwości jezdne skonstruowanego w latach 1935—36 dużego polskiego samochodu osobowego typu LS (Lux-Sport) oraz wyjątkowo nowoczesny kształt jego nadwozia, które zaczęto naśladować już po dwóch latach (Hanomag 1,3 l, Adler 2,5 l, Opel Kapitan od 1938 r., Ford od 1940 r.).

LS miał niezależne zawieszenie wszystkich kół na podwójnych wahaczach poprzecznych. Elementami sprężynującymi były długie podłużne drążki skrętne o mechanicznie regulowanym naciągu. Elementy tłumiące stanowiły specjalne z wewnątrz regulowane amortyzatory dwustronnego działania typu „Stabilus". Ogumienie zostało wykonane na zamówienie w firmie Stomil w Poznaniu, według koncepcji stomilowskiej, i było pierwszym na świecie ogumieniem o obecnie stosowanym stosunku wysokości do szerokości opon rzędu 0,7.

O wyjątkowych właściwościach jezdnych LS-a mogłem się przekonać osobiście, prowadząc na przebiegu około 25 000 km badania porównawcze LS-a z nowymi samochodami Buick i Cadillac.

LS zaprojektowany został koncepcyjnie przez inż. Kazimierza Studzińskiego; natomiast konstrukcje prowadzili inżynierowie: Jan Werner (silnik), Mieczysław Dębicki (rama, układ kierowniczy, hamulce), Aleksander Rummel (zawieszenie i napęd), Stanisław Panczakiewicz (nadwozie).

Aleksander Rummel

Prof. Aleksander Rummel jest wybitnym specjalistą w dziedzinie motoryzacji. W latach 1935—39 i 1946—57 był zatrudniony w najpoważniejszych zakładach konstrukcyjnych polskiego przemysłu samochodowego. W latach 1957—77 pracował w Politechnice Szczecińskiej. Współkonstruktor samochodów Lux-Sport i Star 20. Autor książek: „Silniki samochodowe" (19..), „Samochody" (1969), „Silniki spalinowe" (1977).

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Maria Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jedliński (kierownik działu literackiego), ... Lidia Wójcik. Redaktor techniczny – Ewa Dybek, korektor – Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-28.

Adres redakcji: 20-033 Lublin, ul. Skłodowskiej 3/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego ..., sekretarz redakcji ..., dział publicystyki i literacki ...

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, poleconą i ekspresową — pod adresem redakcji.

Zam. 1515. 1988-05-13. F-4.

Wróżka znaczy wiedźma

Ewa Chodkowska

MAŁE miasteczka są jak stare, cnotliwe kobiety. Mają swoją moralność, swoje prawo, swój kodeks dobra i zła. Na własny, prywatny użytek. W małych miasteczkach tylko pozornie wszystko wydaje się bliższe i łatwiejsze. Życie ma tu nieugięte zasady, strzeżone przez wszechwidzące oko ludzkiej zawiści.

W zielony poranek idę cichą, boczną uliczką. Spokój. Życie miasteczka skupia się wokół małego ryneczku i przylegających doń paru uliczek. Wczesnym rankiem ustawiają się tu kręte ogony pod nabiałowym najpierw, potem pod rybnym i mięsnym. Tu od wczesnej wiosny czynna jest lodziarnia pana Wacka. Popołudniami i w niedziele w maleńkiej salce wyłożonej białymi kafelkami krąży życie towarzyskie miasteczka. Przelewając się pod wieczór do jadłodajni „Jutrzenka", gdzie pomiędzy biustem pani Helenki a ladą bufetu przesuwają się parujące talerze z pomidorową i spienione kufle piwa.

Od dziesiątej rano pan Wacław staje w białym, pociapanym fartuchu w drzwiach swojej cukierenki i tęsknym okiem wygląda klientów.

— Nie chcą teraz kupować lodów. Mówią, że to z zatrutego mleka. Dobrze, że choć jeszcze ciastka idą. Wszyscy i tak wiedzą: he, he, he, że nie mogą być na świeżym maśle, więc nie boją się promieniowania idącego z tych ciastek. Jedzą.

Pana Wacława nie bardzo lubią w miasteczku, rozmaite rzeczy o nim opowiadają, że on z tymi dziewczynami, co je najmuje do sprzedawania lodów, to się zadaje bliżej... Pani Grzybowa wie wszystko najlepiej. Mieszka przy rynku od urodzenia, 63 lata. Okno jej kuchni wychodzi prosto na ratusz i cukierenkę. Ona dobrze znała tę dziewczynę, którą pan Wacław najpierw uwiódł, a potem zamordował podobno w lesie.

— Dopiero po pół roku znaleziono ją, jakoś to było tak na wiosnę, jak śnieg stopniał. Wszyscy wiedzieli, że to musi być jego sprawka, ale nic mu za to nie było. Nie doszli nawet, kto to zrobił. On żył tak na kocią łapę z rozmaitymi dziewczynami, przeważnie przywoził je ze wsi, że to niby do ciastek. Ksiądz z kolędą już od dawna go omija. Jego i tę wiedźmę Bocianowską.

Pan Feliks poprawia nieustannie gumowe szelki. Mruży oczka i wyciąga na powitanie zgrabiałe palce, umęczone trzydziestoletnim przekładaniem urzędowych papierów. Pracował przez pół swego życia na poczcie. Zna tu w miasteczku wszystkich, od podszewki. Wie, kto dostawał paczki od Żydów z Ameryki. Pamięta doskonale jeszcze czasy przedwojenne. Mieszkał z rodziną naprzeciwko piekarni. W domu był stale zapach drożdży, choć chleba nieraz brakowało. Żyd z piekarni nie był taki zły, często przecie poborgował.

— Widzi pani, ja nie mam nienawiści do Żydów. U nas jest kirkut, tam koło domu towarowego, mówią, że to podobno jeden taki duży został się w Polsce. Pani widziała, jak tam poniszczone. Butelki, śmiecie; łaziki różne wódkę tam piją. Teraz to już trochę mniej, bo niedawno powiesili tabliczkę „Wstęp wzbroniony" i bramę zamknęli. Ja tam chodzę czasem, podnoszę te potłuczone płyty, bo to przecież ładne, rzeźbione takie. A prawda... Pani pytała się o tę wiedźmę — pan Feliks przypomniał sobie nagle temat rozmowy. — U, co tam, nikt jej nie lubi u nas. Ale mieszka za miastem, nikomu w końcu nie wadzi. Tylko, że te młode stale tam do niej zachodzą. Jej matka, jak mówią, przechowywała Żydów w piwnicy, prawie przez całą wojnę. A potem, jak już front przeszedł, to zostały jej kapy pluszowe, lustra, dwie szafy, wszystko masywne takie, rzeźbione... No i to małe dziecko, znaczy się Bocianowska.

Pani Woźniakowa uchodzi w miasteczku za elitę. Ma własną piekarnię. Wszyscy do niej ciągną po chleb, w państwowej nie chcą kupować. Wychyla się zza wysokiej lady pachnącej bułkami. Z ciekawością wyciąga tarczycowatą szyję.

— One obydwie po wojnie gdzieś wyjechały. Dopiero... a z jakie dziesięć lat temu wraca do nas ta Bocianowska. Nikt nie wiedział, kto ona, czarna taka, śniada na twarzy... Mój mąż, jeszcze żył wtenczas, poznał ją od razu, że to musi być na pewno po tym Schultzu, co miał w rynku galanterię. Kamienicę kupiła sobie przy Ogrodowej ulicy, pieniędzy to pewnie musiała mieć...

Grzybowa znowu zapaliła się do rozmowy. — A wie pani, że u nas to znowu wracają chyba czasy przedwojenne. Tam za kościołem, w Bramowej, otworzyli niedawno sklep kolonialny. Niech pani zobaczy, tak napisane na szyldzie. Ale to aż śmiech, jaki tam kolonialny, nawet goździków ani imbiru nie ma. Jakieś groszki i lizaki tylko sprzedają, oszustwo, w kolonialnym sklepie!

Pan Wacław podsłuchiwał w drzwiach cukierenki. Wychylił się, marszcząc oblaną tłuszczem twarz. — He, he. Bocianowska naciąga panienki na wróżby, a jak trzeba, to i za akuszerkę robi, to i miała za co synkowi kupić sklepik.

Pan Feliks obruszony wystawia do przodu brzuch i pstryka gumowymi szelkami. — On tak przez zazdrość, bo to dla niego konkurencja. Ale ja powiem pani to, co i każdy by przyznał niech pani lepiej nie chodzi do tej Bocianowskiej, bo jeszcze co pani zada...

Znowu ciche uliczki na przedmieściu. Popryszczone płoty, z resztkami zielonej i żółtej farby. Domy przeważnie z kamienia; stare, ale solidne. Gdzieniegdzie tylko rozsypujący się drewniak. I parę nowych, z czerwonej albo białej cegły, ozdobne, z łukami.

Furtka skrzypi przeraźliwie, jakby nieużywana od dawna. Długo stukam w ciężkie, okute drzwi. Wreszcie wychyla głowę... Jeszcze niestara, o ołówkowej cerze i kruczych włosach, elegancka, obwieszona biżuterią.

— Czego?... Pani nie stąd? A kto panią przysłał? Jak to nikt? A w mieście pani była? Już ja wiem, co tam nagadali, hołota... Po co pani wiedzieć o mnie. Żyję przecie jak każdy.

Ciężkie drzwi ustępują. Najpierw jakiś mroczny korytarz, schody i wreszcie olbrzymi pokój, także mroczny. Na szybach rozpościerają się zielone gałęzie klonu. Jakieś stare, ciężkie meble, wytarty dywan, pluszowa kanapa, mnóstwo szydełkowych serwetek i duszny zapach starzyzny.

— Na co pani to wszystko? — pyta raz jeszcze. — Mnie nic nie można zarzucić. Już tu i milicję parę razy na mnie nasyłali i co... Karty przecie każdemu wolno układać. A jak ktoś jeszcze zna się na kartach i wie, co która znaczy, to chyba nikomu nie szkodzi. I po co zaraz mieszać w to księdza, milicję i Bóg wie kogo. Mnie ksiądz nic nie obchodzi, niech on sobie swoje święci i kadzi w kościele, a ja mam swoje karty. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ale z milicją to ja nie chcę mieć do czynienia. Żyję samotnie, muszę się czymś zająć. Jakub, mój syn, ma teraz nieduży sklep, całymi dniami nie pokazuje się w domu. Siedzę przy oknie i czekam na niego... No, to prawda, nie jestem jeszcze taka bardzo stara, ale tu nie ma dla mnie towarzystwa, wolę samotność. Nikt do mnie nie przychodzi. Wie pani, jak oni tu wszyscy na mnie mówią: wiedźma. Jaka ja tam wiedźma, nikomu przecie krzywdy nie robię. A że młode dziewczyny chcą się czegoś dowiedzieć o życiu, to chyba nawet dobrze, że ktoś im to powie. Pieniądze? Jakie tam znowu pieniądze? Najwyżej 500 złotych wezmę za jeden seans, znaczy... co ja mówię... za jedną wizytę. To przecie nie są wielkie pieniądze. W końcu każdy z czegoś żyje. A pani też pewnie za darmo się do mnie nie fatygowała. Że naciąganie... A kto naciąga, przecież ja nikogo na ulicy nie zaczepiam, nie jestem żadna Cyganka, ja tylko w swoim domu przyjmuję. Jak ktoś chce, to przychodzi. Pani sobie pewnie wyobraża, że ja ludziom jakieś głupstwa opowiadam. Tak, ja wiem, ludzie nic z tego nie pojmują, a przecie wszystko stoi zapisane w kartach, chociaż... to nie wystarcza, właściwie. Same karty

Dokończenie na str. 11

Krzyżówka nr 12 z szyfrem

Poziomo: A. odrodzenie ● hitlerowski obóz koncentracyjny pod Lublinem, B. dziedzictwo po rodzicach i dziadkach, C. jeden z tych, co w koszyku ● wieś nad Radomką na trasie Kozienice — Magnuszew, D. oddziela nawę od miejsca ołtarzowego w cerkwi, E. gołąb lub broń palna ● trudna sytuacja, F. harcerz ze złotą lilijką ● do lepienia, G. dawna miara długości i powierzchni ● carski parlament ● posłanie, nora ● przepływa przez Cieszyn, H. hiszpański namiestnik w Niderlandach w XVI wieku ●, lata pracy lub praktyka, I. dowódca kozaków ukraińskich ● ozdobna grządka, J. urządzenie do pomiaru głębokości morza, K. rozstrzyga w pewnych sprawach ● przepływa przez Skarżysko, L. ustala kierunek lotu, M. podobieństwo ●, tytułowa bohaterka tragedii Sofoklesa.

Pionowo: 1. ptak — dziwak ● daje nazwę rybakom — amatorom, 2. małe miasto, które dało nazwę morzu, 3. punkt przeciwny zenitowi ● wielobarwna na niebie, 4. rodzaj wazki, 5. kręci głową ● broń pszczoły, 6. dziwak, 8. płyny owocowe ● nocny motyl ● wulkan na Sycylii, 9. autor „Tańczącego jastrzębia", 11. producent żywności ● list bez podpisu, 13. sarkoma ● na parkingu rowerowym, 15. kochał Heloizę, 16. bóg wojny ● koiczaste zwierzę ● stolica Ghany, 18. rzeźba Madonny z martwym Chrystusem, 19. dla artylerzysty: drzewo na horyzoncie ● między naleśnikami a racuchami, 20. okres historyczny, 21. zwisający fragment skały lub śniegu ● znów modny taniec, 22. mowa, 23. przyrząd gimnastyczny ● zatoka Morza Czerwonego.

SZYFR

A18. A6. C8 / E18. B11. F9. B13. B21. C3. I18. K13. F4 / A8. K8. A20. A1. B8. I5. C17. I21. D11. F18 / F11. B19. J19. L11. A22. C18. E11. A4 / C23. E2. G4. L10. D21. K20. F16 / G7. M18. C16. C4. M19. M11. G9. F8 / J14. B16 / B9. G3. G22. K4. K16. F6 / C1. E17. L3. H16. M16. E3. B14. G20. M22. H22 / I1. J3. E1. D3. I9. G15 / K7. K19. G17/I3. E5. E22. K6. G8. A21. M7. J9. J1 //.

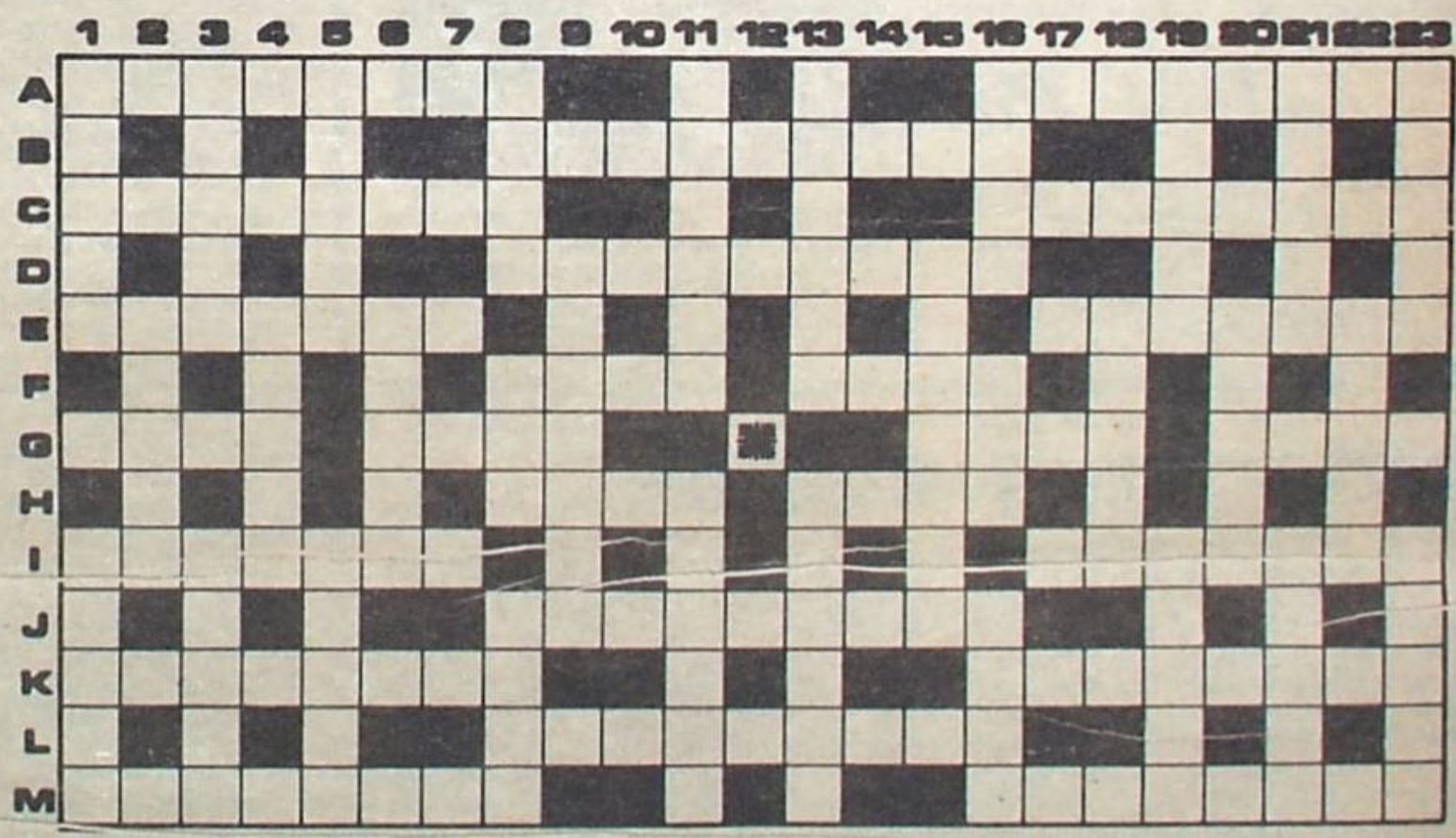

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 10 Z SZYFREM

Poziomo: próżnia, składka, sarkazm, organizm, sprzedaż, pakt, punkt, Kant, Fryzja, Eneasz, swąd, nalot, Anin, mecz, Rzym, pled, kącik, kwas, kaucja, arszyn, Ohio, nasyp, reda, ekstrema, czerwiec, szczęka, kaliber, Szwecja.

Pionowo: podpis, Probus, okrążenie, żart, okaz, Ina, rzeka, tok, niszczyciel, kompan, Kanada, ałun, Lec, sęki, kastet, kapcie, przedrostek, ale, szyby, wóz, Krak, reje, Żarnowiec, marten, stacja.

SZYFR

Jeżdżąc tak między Liwcem i Wisłą dziwujemy się: stypna ta Polska, co krok, to albo pijak albo nowa budowa. Surrealistyczny kraj.

Melchior Wańkowicz
„Zupa na gwoździu"

Nagrodę wylosował Stanisław Gołociński, ul. Trześniowska 23, 20-139 Lublin.